TYDZIEŃ

Nr 15 (39) ROK II

13. IV. 1947

CENA 15 ZŁ



JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA...

W 150-tą ROCZNICĘ POWSTANIA HYMNU NARODOWEGO

NASZA OKŁADKA



W półtorawiekową rocznicę powstania hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła" rysunek Michała Byliny przypomina nam historyczne postacie legionistów Dąbrowskiego (Patrz artykuł na str. 5-ej)

tak i nie

Widmo de Gaulle'a



Mowa generała de Gaulle, wygłoszona w Strassburgu, stanowi doniosłe wydarzenie polityczne w życiu Francji, a jest znamienna dla stosunków powojennych w całej Europie. Były szef rządu francuskiego, który od dłuższego czasu wycofał się z życia politycznego, pragnie doń powrócić, wypowiadając wojnę partiom politycznym, rządowi i nowej konstytucji. Raz na jesieni roku ubiegłego walkę tę de Gaulle przegrał. Jego koncepcja władzy osobistej, będąca kryptonimem dyktatury, poniosła klęskę i w referendum naród francuski zatwierdził konstytucję demokratyczną. Przez kilka miesięcy de Gaulle w ustroniu w swej posiadłości, Colombay les deux Eglises, przeżuwał swą porażkę, oczekując nowego, odpowiedniego momentu do interwencji w życie polityczne kraju.

Uważa on, iż chwila ta nadeszła obecnie. Wydaje mu się, iż wewnętrzne trudności gospodarcze Francji i trudna jej sytuacja międzynarodowa sprzyjają pochwyceniu władzy i likwidacji ustroju demokratycznego. Te trudności gospodarcze wynikają zarówno ze zniszczeń wojennych, jak i z braku surowców dla przemysłu, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić węgiel. Styczniowa podróż Leona Bluma do Londynu nie przyniosła pod tym względem poprawy. Fakt podpisania sojuszu francusko - brytyjskiego nie spowodował zasadniczej zmiany w stanowisku Wielkiej Brytanii w sprawie dostaw węgla niemieckiego dla Francji. Pozostał on aktem platonicznym, gdyż i politycznie na konferencji moskiewskiej zarysowały się głębokie rozbieżności między obydwoma krajami.

Zabierając głos w tej sytuacji, de Gaulle wykorzystać pragnął zmęczenie społeczeństwa francuskiego, spowodowane szeregiem ustawicznych wyrzeczeń i zbyt wolno postępującą odbudową gospodarczą. Używa więc on chwytu znanego nie od dziś, tym samym chwytem bowiem faszyzm obezwładniał demokratyczne szeregi państw europejskich w okresie międzywojennym.

Dla niejednego z Polaków, nie znających bliżej stosunków francuskich, wydawać się może niezrozumiałe, że człowiek, który pierwszy podjął zpohańbienia oręż Francji i wbrew zdradzie Petaina, wystąpił do walki z wrogiem, dziś jest zwalczany zarówno przez lewicę, jak i przez dawną swoją, własną partię. Jest to rzecz podobna tej, która w Wielkiej Brytanii stała się z Winstonem Churchillem.

Wicehrabia Charles de Gaulle z pochodzenia, z tradycji i z przekonań jest człowiekiem skrajnej prawicy. Jego sojusz z żywiołami ludowymi w walce z Niemcami, był często koniunkturalny. Gdy walka się zakończyła, do głosu z powrotem znowu doszły zasadnicze kwestie światopoglądowe i ideologiczne, które różnymi drogami powiodły demokrację francuską, a innymi de Gaulle'a i jego popleczników. I tutaj w tej walce idei nic nie ma do rzeczy jego aureola żołnierska, którą się otaczał i którą pragnie wykorzystywać dla doraźnych celów politycznych.

Jeden z dzienników francuskich, pisząc na temat mowy strassburskiej, powiada o de Gaulle'u, że „wiele on uczynił dla Francji, ale niczego nie zrozumiał". Działa on w myśl interesu swojej warstwy, nie wyciągnąwszy żadnych konsekwencji z przemian, zachodzących na świecie i w jego ojczyźnie. Prasa francuska, mówiąc o de Gaulle'u, często wymienia historyczne nazwisko generała Boulanger, tego innego wojskowego, który podobnie jak de Gaulle czwartej, zagrażał trzeciej republice. Porównanie to jest trafne, ale powierzchowne. Niewątpliwie de Gaulle wyraża inne siły społeczne, niż swego czasu Boulanger. Jest on unowocześnionym Boulanger. Jego działanie związane jest z nowoczesnymi siłami, zwalczającymi demokrację i postęp tymi samymi, których ukoronowaniem był faszyzm.

Shocking!

W czasie ostatnich świąt oficerowie pewnej jednostki brytyjskiej stacjonującej na terenie Niemiec, po spożyciu wieczerzy urządzili przyjęcie dla niemieckiej służby kasyna, a niektórzy oficerowie posunęli się nawet do własnoręcznego podawania gęsiny i ciastek swoim ordynansom i kucharkom. Czy ten gest chrześcijańskiej pokory był bardzo dobrą metodą wychowawczą pozostanie tajemnicą zainteresowanych?

Natomiast fakt, że delegacja oficerów jednej z armii okupujących zachodnie Niemcy, udając się do Brukseli dla prowadzenia pertraktacji handlowych, zabrała ze sobą niemieckich ordynansów umundurowanych w nieskazitelne „feldgrau", wzbudził słuszne zgorszenie u spokojnych Belgów. Urządzili oni delegacji kocią muzykę. Skończyło się na tym, że Niemców osadzono w więzieniu i odesłano etapem za Ren. Panowie oficerowie musieli sobie poradzić we własnym zakresie z garderobą.

Blokada zamiast salw armatnich

OFICJALNIE walki na terenie Indii Holenderskich zostały zakończone. Indonezyjczycy zorganizowali swoje państwo, a Holendrzy uznali ten stan rzeczy de facto choć nie de jure. Premier republiki indonezyjskiej rozpoczął swoje rządy od konfiskaty holenderskich i angielskich plantacji, produkujących m. in. 800.000 ton cukru rocznie na eksport, nie mówiąc o tak ważnym artykule jak kauczuk. Przyszłość gospodarcza nowego państwa wydawała się zapewniona. Nabywców na cukier i kauczuk nie brakło, ale wówczas Holendrzy sięgnęli do metody aż nazbyt dobrze wypróbowanego nacisku ekonomicznego. Ogłosili, że żaden statek nie może opuścić indonezyjskich wód terytorialnych, o ile nie uzyska pozwolenia wyjazdu od władz holenderskich. W dniu 29 stycznia marynarka holenderska rozpoczęła blokadę.

Okręt amerykański „Martin Behrman" usiłował przełamać blokadę, ale został zawrócony, a ładunek 6000 ton kauczuku został skonfiskowany. Przyszłość pokaże, czy presja gospodarcza złamie Indonezyjczyków, którzy nie ulegli salwom armatnim. Nie jest również wykluczone, że zadecyduje inny czynnik. Stany Zjednoczone interesują się bardzo sprawą surowców indonezyjskich i wywierają z kolei presję na słabszą Holandię.

Meksyk

MEKSYK jest zależny gospodarczo od Stanów Zjednoczonych. Od chwili wywłaszczenia amerykańskich towarzystw naftowych stosunki między obu państwami nie zawsze układały się idealnie. Od stopnia nacisku ze strony północnego sąsiada zależały w dużej mierze możliwości gospodarczego dźwignięcia kraju.

Ostatnio znów sprawy się zaostrzyły. Latem ubiegłego roku Stany Zjednoczone zakazały przywozu bydła z Meksyku, ze względu na niebezpieczeństwo zawleczenia pryszczycy. Gdy inne środki zwalczenia epidemii nie pomogły, prezydent Aleman zdecydował się na drakońskie posunięcie: wybito dziesiątą część pogłowia, ponad milion sztuk bydła rogatego. Stany Zjednoczone otwarły swe granice dla importu sięgającego w normalnych latach 500.000 sztuk bydła. Po dwóch tygodniach zamknięto granice na nowo bez podania przyczyn, dodając jedynie, że import będzie zakazany „przez kilka lat".

Państwowe plantacje w koloniach

RZĄD Labour Party planuje utworzenie olbrzymich plantacji na terenie Kamerunu, Nigerii i Wschodniej Afryki. Jest to zupełna nowość w stosunkach afrykańskich. Kolonie były dotychczas wyłączną domeną często zupełnie nieokiełznanego wyzysku, a państwa macierzyste ograniczały się przeważnie do opodatkowania olbrzymich zysków plantatorów. Rząd angielski wierzy, że projekt jego doprowadzi do wzrostu produkcji roślin oleistych i zapewni Wielkiej Brytanii brakujące tłuszcze. Jest to jednak tylko jedna strona zagadnienia. We wszystkich koloniach istnieje nierozwiązany problem zdemobilizowanych żołnierzy tubylców, którzy w armii przyzwyczaili się do znacznie wyższego standartu życiowego i do nieco lepszego traktowania. Plantacje rządowe mają zapewnić tej rzeszy niezadowolonych pracę i rozładować niebezpieczne tendencje.

Cypr...

NA Cyprze poza obozem koncentracyjnym dla Żydów, którym nie udało się dostać do Palestyny, znajduje się 400.000 mieszkańców w przytłaczającej części narodowości greckiej.

Parlament grecki nie jest wprawdzie bardzo reprezentatywny, ale powzięta na tajnym posiedzeniu uchwała, domagająca się zwrotu Cypru od Anglii, jest co najmniej dowodem skomplikowanej sytuacji w tej części Morza Śródziemnego. Warto przypomnieć, że Disraeli oświadczył ongi, że Cypr jest kluczem do przedniej Azji. Może dlatego w Londynie zdementowano wszelkie pogłoski, jakoby rozważano sprawę odstąpienia Cypru Grecji.

Prawdopodobnie z tego samego powodu rozległy się w Ameryce głosy popierające pretensje greckie. Było to nazajutrz po słynnej „ofercie" Trumana udzielenia pomocy Grecji.

...i Malta

TA wyspa, największa baza morska Wielkiej Brytanii na Morzu Śródziemnym, ucierpiała wielce od bombardowań wojennych, i znajduje się obecnie w rozpaczliwej sytuacji. 10 000 domów jest całkowicie zburzonych a 18.000 wymaga gruntownych napraw. Urządzenia portowe są zniszczone, a ludność przymiera głodem. Oficjalny raport angielski przyznaje, że przeciętne pożywienie Maltańczyka zawiera mniej kalorii niż norma żywnościowa Niemca. Nic dziwnego, że 5 procent całej ludności, tj. 12.000 osób zdecydowało się wyemigrować do Australii, Nowej Zelandii i Kanady.

tak i nie STRONA 4

Ostrze na ostrze

Obraźliwi

W ubiegłym tygodniu przed samymi świętami wstąpiłam do popularnej kawiarni warszawskiej, zwanej „Kopciuszkiem". Wiele złych sióstr i wielu uwodzonych przez nie królewiczów obsiadło gęsto małe stoliczki, przy których cierpliwie uwijały się kopciuszki.

Jeden z tych kopciuszków, przemiła znajoma z dawnych czasów, zaopiekowała się mną gorliwie w chwili, gdy bezradnie rozglądałam się po sali w poszukiwaniu wolnego miejsca. Natychmiast znalazł się stoliczek i nadspodziewanie szybko przywędrowała kawa.

— Proszę pani, przepraszam, że o coś zapytam — zagadnęła mnie, stawiając filiżankę na stole kelnerka, trochę jakby zaaferowana. — Czy to prawda, że w ostatnim numerze „Tygodnia" pisaliście coś o naszej kawiarni?

Roześmiałam się. Rzeczywiście, w „Bajeczkach" wspomnieliśmy o „Kopciuszku", nadmieniając, iż bajeczki tam opowiadane przy małej czarnej, względnie po prostu małej czarnej, nie nadają się dla dzieci. Cóż w tym złego?

Nie spodziewaliśmy się, iż ta znakomita reklama miejsca towarzyskich spotkań wywoła takie zaniepokojenie wśród jego personelu. Odwrotnie. Napawa nas raczej dumą i przyjemnością, iż słowo drukowane w Polsce jest traktowane tak poważnie. Drżą przed nim... potęgi. Bo proszę — sprobujcie być z kelnerką w złych stosunkach. Możecie całą godzinę czekać na kawę. A tak się boi. Żeby jej w gazecie nie opisali.

Ale inna rzecz nasze miłe znajome panie z „Kopciuszka", inna rzecz nawet — obywatele dozorcy, ekspedientki, tudzież urzędnicy niższych instancji, którzy robią, co mogą, żeby o nich w „Expressie" wspomniano, inna natomiast — koledzy po piórze, ludzie tak jak my od czcionki i drukarskiej farby.

Okazało się, iż kilka naszych niewinnych wycieczek pod adresem zaprzyjaźnionych, zjednoczonych, skomasowanych i wielce skądinąd sympatycznych wydawnictw wzbudziło w nich niemniejszy niepokój i zdenerwowanie, niż nasza bajka o Kopciuszku. I na recenzenta „Orestei" pogniewali się niektórzy. Że szarga świętości, że niedocenia rzetelnego wysiłku przy odbudowie i przebudowie naszej nowej polskiej, demokratycznej rzeczywistości, że Andryczówna wcale nie ma żółtego lisa... itd.

Niektórzy przestali się kilku członkom redakcji w ogóle kłaniać, niektórzy kłaniają się z ubolewaniem jak komuś, komu ciotka umarła, nie pozostawiwszy spadku, choć bardzo na to liczył.

Poprawcie się, panowie. Nic tak nie popularyzuje osobistości czy jej dzieła, jak dowcip. Niektórzy przedwojenni politycy specjalnie popierali w prasię satyrę na temat swych osób. W „Szpilkach" zdarzają się i dziś wypadki, że wysoko postawione osoby interweniują, ponieważ nie zamieszcza się ich karykatur. Proszą o to. Minister Kultury i Sztuki, Dybowski, z miejsca zdobył sobie sympatię, gdy przełamał pewne opory i zastrzeżenia czynników miarodajnych przed ogłoszeniem wiersza Minkiewicza „Ale kto to jest Dybowski?" w „Szpilkach". Przykładów takich można wyliczyć więcej.

Przyjemnie byłoby nam zaliczyć do nich także nasze sympatyczne „ofiary". Natomiast rola cioci, która siedzi w kącie na kanapie i ma za złe jest zawsze podwójnie zachęcającym do kpiny objektem.

Zbigniew Mitzner

PRZYGODY ZIUTKA

KIM był Ziutek? To jeden z robotników polskich, w czasie okupacji wywiezionych na roboty do Niemiec. Nie podzielał on jednak losu swych rodaków, pracujących w ciężkiej poniewierce u niemieckich bauerów, w podziemnych fabrykach broni i amunicji, w kamieniołomach, lub też pod stałym ogniem bombardowań portów Hamburga, Bremy, czy Ludwigshaven. Ziutek urządził się sprytnie. Rzucił się w wir afer i interesów, handlu kartkami żywnościowymi i dostarczania koniaków, kawy i innych luksusowych rzeczy do eleganckich knajp we Frankfurcie. Dzięki temu wymigiwał się jak mógł z pracy, a przekupywani przezeń Niemcy kryli tę jego działalność. Wreszcie wpadł w ręce policji kryminalnej.

WIEMY o tym wszystkim dlatego, iż Ziutek stał się bohaterem długiego artykułu Leopolda Tyrmanda ogłoszonego w num. 101 „Przekroju". Dowiadujemy się z niego, że Ziutek zaginął. Pozostali jednak koledzy z tamtych czasów, uprawiający podobny proceder. Jednego z nich pan Tyrmand spotkał w Warszawie, wypił z nim większą wódkę, po czym napisał wyżej wymieniony bardzo długi i bardzo rzewny artykuł.

O cóż chodzi panu Tyrmandowi? W dłuższym wywodzie historycznym przypomina on losy Brytyjskiego Imperium, które powstało w wyniku działalności kupców - awanturników, zdobywczą inicjatywą zagarniających pod wpływy Anglików niezmierzone obszary mórz i lądów. Polsce ten typ człowieka był obcy. Tyrmand twierdzi, że w toku ubiegłej wojny i my uzyskaliśmy kupców — awanturników. Kampania indyjska zdobyła dla Wielkiej Brytanii jedną z najbogatszych krain świata. Ziutkowie zdobyli dla siebie po kilkanaście tysięcy dolarów i niektórzy z nich z tą „harmonią forsy" tułają się dziś po knajpach Warszawy, Wrocławia i Gdyni, nie mogąc sobie znaleźć tutaj ani miejsca, ani zajęcia.

Czy naprawdę są postaciami tragicznymi, wobec których państwo ma czuć się winne? Powiedzieć tu można z większą dozą słuszności, że są oni raczej tragi - komiczni, jak wszystko, co jest anachronizmem, przeniesieniem z jednej epoki do drugiej — jak nasz Zagłoba w „Tygodniu".

CI nieliczni ludzie, którzy w sercu Niemiec i na obszarach okupowanej przez Niemców Europy umieli grasować jako spekulanci, szabrownicy, z trudem tylko przyrównani być mogą do handlowych brytyjskich konkwistadorów. W owej epoce zamętu i bezprawia nie można ich było nazywać przestępcami, gdyż łamali tylko nakazy najbardziej niesprawiedliwe i niesłuszne, nie wznosząc się na wyżyny wielkich afer i pozostając małymi aferzystami.

Co mają uczynić dzisiaj? Chyba to jedno — zapomnieć o swym wojennym procederze, potraktować go jak wojenny w swym życiu przemijający incydent, podobnie jak żołnierz i partyzant zapominają w czasie pokoju o tym co robili w okresie walk i wojny.

A o co dobija się dla nich pan Tyrmand? Nie o co innego jak o pozostawienie im prawa do dalszego grasowania na naszym życiu gospodarczym. Już nie w charakterze kupców - awanturników, ale pod pseudonimem inicjatywy prywatnej.

JEST to propozycja taka, jak gdyby dziś w Anglii pozwolono na ziemiach już zagospodarowanych i urządzonych, na ziemiach zamorskich, które często z kolonii podniesione zostały do godności dominów, na prowadzenie handlu systemem rozbójniczym, który był stosowany przed 200 lub 300 laty. Tak samo jak na obszarach Imp. Brytyjskiego skończyły się i odeszły raz na zawsze w przeszłość te czasy handlowego rozbójnictwa, tak samo odejść muszą w Polsce w przeszłość tak niedawne czasy ziutkowych afer i interesów. Swoje życie gospodarcze Anglia organizuje już na innych, nowoczesnych zasadach, sięgając nawet do metod planowości i unarodawiania najważniejszych gałęzi przemysłu i transportu.

PRZYJACIEL Ziutka narzeka, że nie pozwolono mu na zorganizowanie własnej, prywatnej linii autobusowej. Tyrmand twierdzi, że stało się to ze szkodą dla obywateli i dla kraju. Można wyciągać i takie wnioski, gdy się patrzy krótkowzrocznie. Ale z drugiej strony: czy nie kryje się wielkie niebezpieczeństwo w oddaniu ważnych ośrodków życia gospodarczego kraju w ręce ludzi, którzy przyzwyczaili się do stosowania najbardziej rozbójniczych metod i którzy nie zrozumieli całkowicie ich szkodliwości w obecnej sytuacji? Bo wydaje mi się, że rozmówca Tyrmanda traktuje trochę tę Polskę współczesną tak jak kupcy brytyjscy traktowali Kamerun, a sam Ziutek wrogi teren Frankfurtu nad Menem.

Tymczasem to, co jest najważniejsze, to obranie właściwej drogi rozwoju i niespaczenie od początku gospodarczego rozwoju Polski i jej odbudowy.

Gdy tak do sprawy podejdziemy, to „harmonia forsy", tysiączłotówek i studolarówek, jako też i twardych dwudziestek — nie jest wystarczającym argumentem dla pozwolenia ziutkowemu przyjacielowi na robienie tego, co chce i co mu się żywnie podoba.

CZY to jest równoznaczne z tym, że ziutkowy przyjaciel, a p. Tyrmanda rozmówca, nie ma co w Polsce robić, że tutaj ze swą rzutkością, inicjatywą i fachową szoferską wiedzą jest niepotrzebny? Na pewno tak nie jest. Rzecz w tym tylko, że swoje zainteresowania, że swoje zdolności obrócić musi w nieco innym kierunku niż na powiększanie tej naszabrowanej forsy, musi na sprawy spojrzeć z ogólniejszego punktu widzenia, takie to już to bowiem przyszły w świecie czasy.

Jeśli skończyła się epoka rycerzy rozbójników, kupców - rozbójników i rycerzy - przemysłu, a nadeszła inna — zespołowego, zbiorowego działania — i my w Polsce — jeśli znów nie chcemy być zapóźnieni w stosunku do innych o setki lat — musimy się do niej przystosować, aby w ten sposób nadgonić czas stracony.

Mordercy Matteotiego



W procesie morderców przywódcy socjalistów włoskich zapadł w Rzymie wyrok, skazujący ich po 30 lat więzienia.

Wiosna w Warszawie



Kwiaty na ulicach stolicy są widomym znakiem nadejścia najpiękniejszej pory roku.

Król Franco

PRZEMAWIAJĄC z okazji ósmej rocznicy zakończenia wojny domowej, gen. Franco zapowiedział przywrócenie w Hiszpanii monarchistycznej formy rządu. Monarchia przestała istnieć w tym kraju w roku 1931, gdy Hiszpania proklamowana została republiką, a rodzina królewska opuściła kraj. Po krótkim okresie rządów republikańskich, zaatakował Hiszpanię w 1936 roku faszyzm, będący wówczas w zwycięskiej ofensywie w różnych krajach Europy. Po krwawej wojnie domowej, faszyzm i dyktatura wzięły górę. Do ich zwycięstwa przyczyniła się w znacznej mierze pomoc, udzielana hojnie zwłaszcza przez Niemcy i Włochy.

To krótkie przypomnienie historii pomaga w pewnym sensie lepiej zrozumieć obecną decyzję generała Franco. Reżim, który doszedł do władzy wbrew woli narodu, drogą gwałtu i podboju, nie potrafił zapuścić głęboko korzeni. Świadczą o tym nieustanne niepokoje, nieprzerwana działalność partyzantów, utworzenie rządu Hiszpanii republikańskiej na emigracji. Faszyzm hiszpański nie potrafił się przy tym wyrzec swych związków z hitleryzmem, który mimo klęski, szuka gwałtownie form i schronienia, aby przedłużyć swe istnienie. Znane są ogólne wypadki ukrywania się na terytorium hiszpańskim niedobitków hitlerowskiego reżimu, a także zbiegłych faszystów z innych krajów, kontynuujących pod opieką Franco swe prace nad planami nowej wojny i nowych środków zniszczenia.

To jawne niebezpieczeństwo dla pokoju świata, hodowane w hiszpańskim laboratorium, skłoniło Narody Zjednoczone, na wniosek Polski, do zerwania stosunków dyplomatycznych z hiszpańskim dyktatorem. W ten sposób najmniejszy z trzech dyktatorów i jedyny z nich pozostały na widowni generał Franco, pozbawiony oparcia w narodzie i osamotniony na terenie międzynarodowym, podejmuje od jakiegoś czasu gwałtowne i żałosne próby utrzymania się na powierzchni życia. Prowadzone rozmowy z kołami monarchistów nie dały żadnego rezultatu. Pretendent do tronu hiszpańskiego odmówił firmowania stosowanych w Hiszpanii metod terroru. Wobec tego Franco powziął myśl, by samemu zmienić zewnętrzne formy rządów, sądząc zapewne, iż świat uwierzy, że za tą nową formą kryje się ciągle ten sam, dawny faszystowski system, ta sama, antydemokratyczna w swym ideologicznym założeniu treść. Franco postanowił proklamować się królem, zaznaczając, iż wyznaczy sam swego następcę. Jak widać z reakcji, z jaką oświadczenie to spotkało się zarówno w krajach zachodu, jak i w kołach Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie zmieni ono w niczym sytuacji, w jakiej się znalazł niefortunny dyktator.

Nawet monarchiści hiszpańscy, nie mówiąc, oczywiście o hiszpańskim rządzie republikańskim, wyrazili swoje oburzenie z powodu tej nowej próby ratowania upadającego reżimu. Nie udało się nikogo wprowadzić w błąd. Nie formy bowiem, ale istotna treść życia politycznego decyduje o obliczu kraju i rządu. Faszyzm w swym rozwoju krył się przecież pod różnymi formami zewnętrznymi. W Niemczech rządził jawnie Hitler, we Włoszech Mussolini, mimo zachowania tam pozorów monarchii, w Polsce półfaszyzm przedwrześniowy operował zakłamanym i fałszowanym parlamentaryzmem, obecnie w Grecji ten sam faszyzm rządzi parlamentem i królem.

„Polski Anglik"

W ub. miesiącu bawił w Polsce przez dwa tygodnie profesor Uniwersytetu Londyńskiego, dr William Rose, dyrektor Instytutu Słowiańskiego w Londynie.

Jest to osobistość niezwykle ciekawa. Mało kto dziś już w Polsce wie, że prof. Rose badał ziemie polskie i słowiańskie już przed pierwszą wojną światową. Interesowały go zwłaszcza warunki życia Słowian w granicach monarchii austro-węgierskiej. I właśnie w trakcie tych badań zaskoczyła go w r. 1914 wojna.

Prof. W. J. Rose jest Kanadyjczykiem i jako taki został przez Austriaków internowany. Przebywał w warunkach znośnych zresztą na Śląsku Cieszyńskim i nauczył się w tym czasie doskonale po polsku. Szczególnie wiele obcował z młodzieżą polską na Śląsku i dzięki temu tak opanował język polski, że napisał po polsku ciekawą rozprawę filozoficzną o „Ojcze Nasz" Cieszkowskiego.

Po skończonej wojnie nie wrócił do Kanady, lecz osiadł w Krakowie, gdzie stanął na czele Angielskiego Komitetu Pomocy Polsce, a następnie założył ognisko YMCA w Krakowie, które rozwijało się wspaniale, otaczając opieką młodzież, szczególnie najuboższą.

Po pewnym czasie przyjął zaofiarowaną sobie katedrę na Uniwersytecie Londyńskim i opuścił Polskę.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, a masy uchodźców przeszły do Rumunii, prof. Rose bez namysłu wsiadł do samolotu i przyleciał do Bukaresztu, by zapoznać się na miejscu z potrzebami uchodźców i zorganizować dla nich pomoc na terenie Wielkiej Brytanii.

Ostatnio znów odwiedził Polskę i stwierdził, że naród polski wykazuje te same walory, które zdołał poznać uprzednio. Toteż przed opuszczeniem Warszawy oświadczył, iż wyjeżdża z Polski przekonany, że naród polski przebrnie przez wszystkie trudności okresu powojennego prędzej i szczęśliwiej, aniżeli wiele innych narodów i że jest spokojny o przyszłość swych polskich przyjaciół.

tak i nie

Urzędowa filantropia

ISTNIEJE w Anglii „Towarzystwo Zapobiegania Troskom Książąt". Jak donosi labourzystowska „Tribune", na ostatnim zebraniu tego towarzystwa, utrzymywanego z funduszów angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wyasygnowano zgodnie z wnioskiem Foreign Office kwotę 2.163 funtów na pokrycie wydatków w związku z utrzymaniem księcia Pawła Jugosłowiańskiego.

„Tribune" przypomina, że książę regent Paweł uciekł z Jugosławii po podporządkowaniu się Hitlerowi w 1941 r. i wyraża przekonanie, że nie brak przecież bogatych krewnych, którzy mogą go utrzymać, jeżeli nie ma z czego żyć.

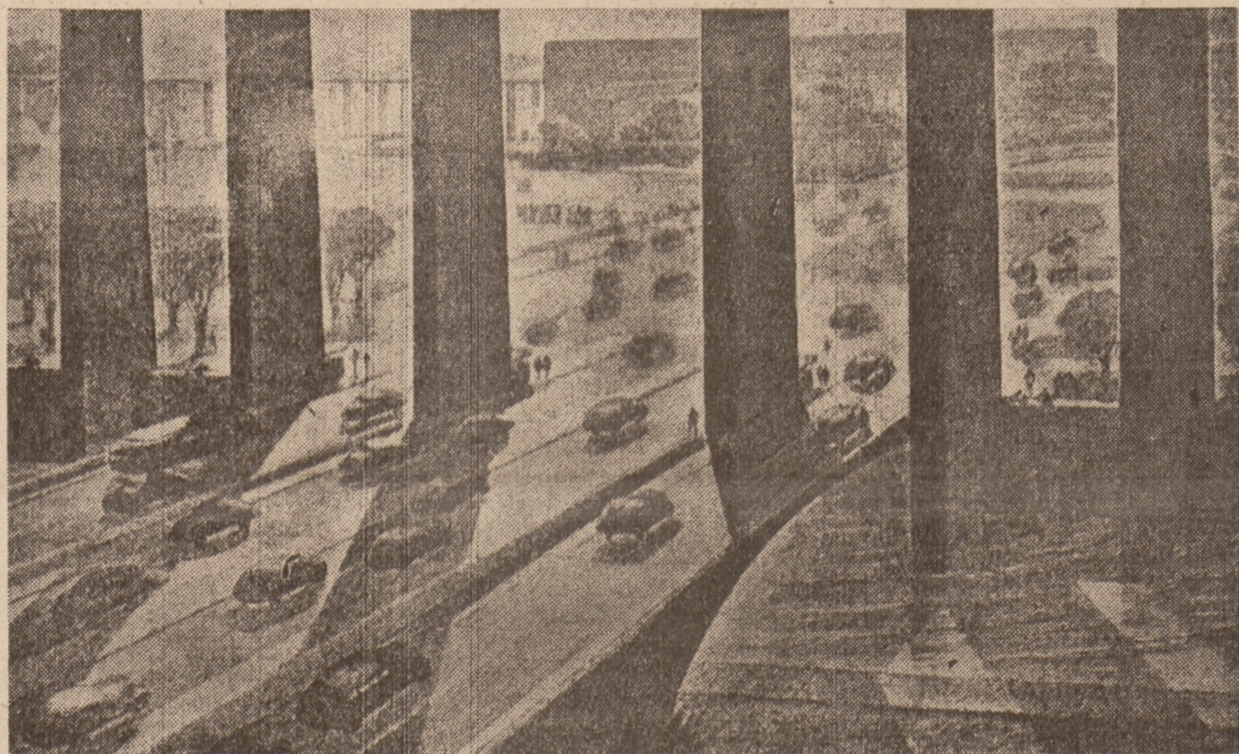
Trudno nie zgodzić się z poglądem organu rządzącej partii angielskiej. Dlaczego jednak odpowiedni kredyt jest przewidziany w budżecie państwowym Wielkiej Brytanii?

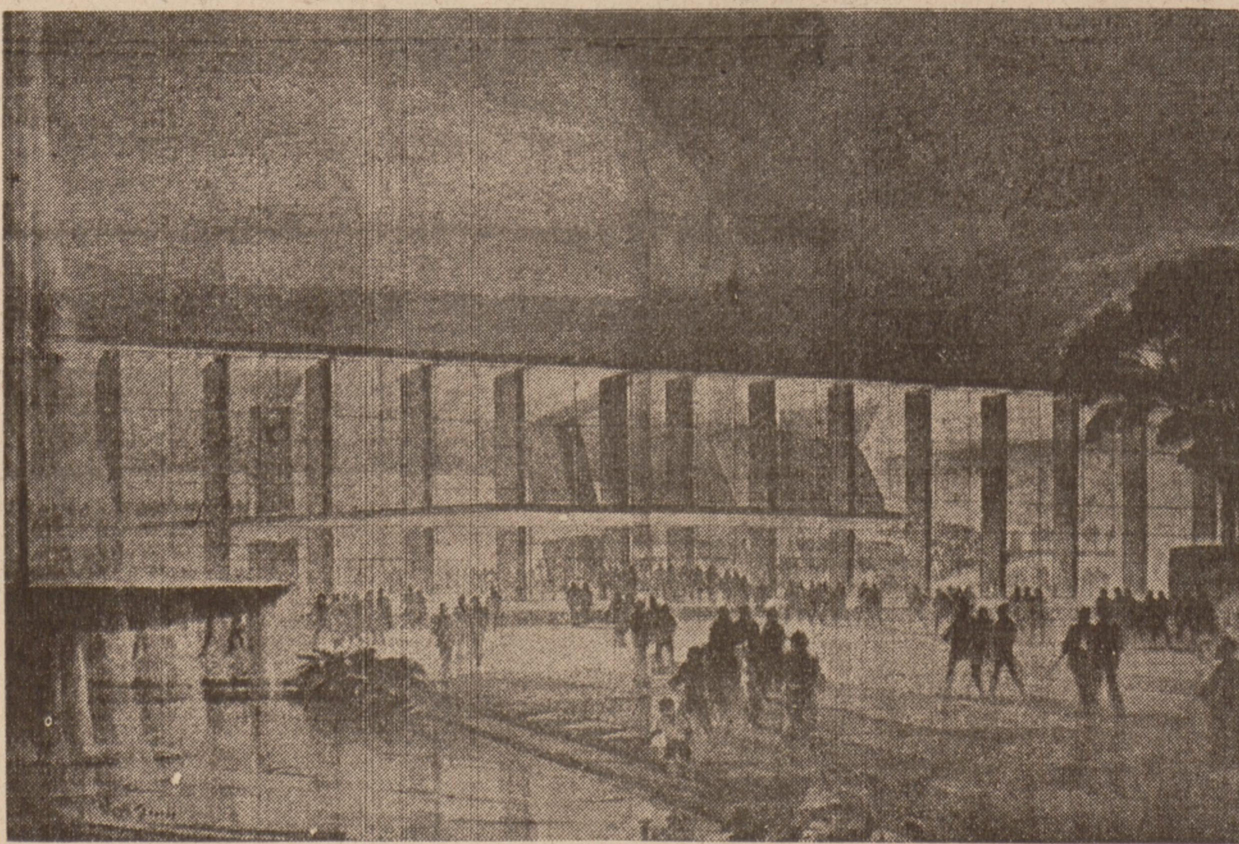
Zapomnieli o rachunku

DO Ambasady R. P. w Rzymie wpłynęło zażalenie na Dowództwo II Korpusu, którego wydział propagandy w Bolonii zamówił w jednym z przedsiębiorstw włoskich pod firmą „Neblolo" szybką maszynę drukarską. Umowa opiewała zarówno na maszynę, jak i na jej zmontowanie, lecz koszt maszyny opiewał na oddzielną sumę, a koszt montażu na oddzielną.

Za maszynę trzeba było zapłacić z góry, a za montaż z dołu. Otóż właśnie za ten montaż maszyny wydział propagandy Dowództwa II Korpusu nigdy nie zapłacił, a ponieważ cały II Korpus został przeniesiony do Anglii, szukaj wiatru w polu, bo przecież Ambasada R. P. nie będzie płacić rachunków za propagandystów Andersa.

Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych





Przez długi czas trwał spór na temat siedziby O.N.Z. Został on rozstrzygnięty ostatecznie na ostatnim Zgromadzeniu generalnym, które postanowiło przyjąć dar Johna D. Rockefelera młodszego w postaci ośmiu hektarów gruntu na wyspie Manhattan w New Yorku. Za wnioskiem tym głosowało 46 państw, przeciw zaś 7, to jest Australia, Salvador, i pięć państw Ligi Arabskiej

Niezwłocznie po tym, architekci przystąpili do opracowywania planów tego międzynarodowego miasta. Pracami tymi kieruje wielki architekt amerykański Wallace Harrison przy współudziale największego współczesnego architekta Francuza Le Corbusier.

Oto dwie wizje przyszłej siedziby O.N.Z.

Marian Bogacz

PRZED STU PIĘĆDZIESIĘCIU LATY

15 KWIETNIA 1797 R.

POWSTAŁ NASZ HYMN NARODOWY

„Kiedy stare pokolenie szło do grobów z rozpaczą, kiedy Naruszewicz wpadł w melancholię, wesoły Zabłocki przywdział habit, Kniaźnin w obłędzie śledził cień wskazówek kompasu, a wersalczyk Trembecki biegał boso w sukmanę odziany po trawnikach tulczyńskich ogrodów, kiedy miasta polskie chyliły się do ruiny, pełne domów bez mieszkańców, bez okien, z trawą zarastającą chodniki, kiedy mewy syberyjskie po raz pierwszy siadać poczęły na pierwszych polskich mogiłach — przyszła do kraju z Zachodu radosna, krzepka pieśń żołnierska „Jeszcze Polska nie zginęła", ułożona dnia 15 kwietnia 1797 r. w Paryżu przez Józefa Wybickiego do muzyki skomponowanej w 1796 r. przez Ogińskiego".

Autor pieśni Józef Wybicki, urodzony w 1747 r., był za czasów Stanisława Augusta posłem na sejm, potem konfederatem barskim, wreszcie szambelanem królewskim. Brał czynny udział w Powstaniu Kościuszkowskim, a po rozbiorach, zmuszony do wyjazdu za granicę, organizował z Henrykiem Dąbrowskim Legiony Polskie. Do kraju wrócił w 1806 r. i został senatorem Księstwa Warszawskiego, potem prezesem najwyższego sądu w Królestwie Kongresowym. Pozostawił po sobie cenne „Pamiętniki", „Mowy" oraz kilka dzieł literackich, słabych pod względem artystycznym i literackim, ale ożywionych głębokim patriotyzmem jak np.: tragedia w 5 aktach „Zygmunt August", „Kulig" komedia w 5 aktach, „Samnitka" opera w 3 aktach, „Pasterka zabłąkana" opera w 3 aktach i komedia „Szlachcic mieszczaninem".

Ale nie te dzieła zapewniają nieśmiertelność Wybickiemu. Należy on do tych nielicznych, ale szczęśliwych autorów, którzy przechodzą do potomności dzięki jednemu utworowi. Tym jest pieśń „Jeszcze Poska nie zginęła", zwana inaczej „Mazurkiem Dąbrowskiego". Utwór to o charakterze okolicznościowym, pisany dla kolegów - żołnierzy w czasie, gdy generał Dąbrowski podsuwał Napoleonowi projekt udania się do Poznańskiego (stąd zwroty: „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski" i dalej: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę"),

Pieśń ta nie roszcząca sobie pretensji do wielkości — popularnością swoją przescignęła inne arcydzieła tak, jak francuska „Marsylianka".

Nie od razu pojawiła się ona na ustach wszystkich, stało się to dopiero wtedy, gdy zwycięskie Legiony wkroczyły do kraju. Na razie była ona cicha i biedna, tak jak ci wygnańcy, co w nędzy i zapomnieniu pić musieli gorzki napój zwątpienia i goryczy. Wiele później powstało pieśni piękniej i kunsztowniej ułożonych, ideałem uczucia i prostoty pozostaną jednak na zawsze proste zwrotki „Mazurka Dąbrowskiego". Rzuciły one urok na współczesnych i na następne pokolenia. Śpiewano je pod Raszynem, ich dźwiękiem głoszono oswobodzenie Galicji, z nimi na ustach przeszły polskie zbrojne zastępy ziemie cudze, z nimi wracały do ojczyzny. W 1831 r. pieśń ta śpiewana była podczas bitwy Grochowskiej i uznana za nowoczesny hymn narodowy po „Bogurodzicy". Gromkim głosem rozlegała się w 1863 r., podczas wszystkich innych walk, aż do dni dzisiejszych: od Lenino do Berlina, od Narwiku do Tobruka. W ten sposób zlewała się i spajała z krwią.

Gdziekolwiek brzmiała, budziła tęsknotę do niepodległego bytu, sama stawała się czynem. Gdy było jeszcze bliżej rozbiorów śpiewano o Polsce, że „jeszcze nie umarła", później, że „nie zginęła" i powoływano się na „racławickie kosy",



Józef Wybicki
(1747—1822)
pochowany w Brodnicy

zmieniały się czasy, zmieniali się ludzie, ton zasadniczy tej drogiej nam pieśni pozostał. Stanisław Witkiewicz powiedział o niej, że była najprawdziwszym słowem, jakie wypowiedziały usta polskie w ciągu stulecia.

I to nie dla swych zalet artystycznych. Nie. Tych pieśń ta nie posiada. Wybicki nie był wybitnym poetą, ale potrafił w tych kilku zwrotkach ująć i najdosadniej wyrazić zasadniczą myśl, syntezę narodowych usiłowań kilku pokoleń, wyrażającą całą historię naszych dążeń od czasu upadku Rzeczpospolitej aż do nowych czasów.

„Jeszcze Polska nie zginęła" to stwierdzenie prawdy, to protest przeciwko gwałtowi, jakiego dokonano na nas, a jednocześnie to nasz sztandar bojowy. „Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy" — to zawołanie wszystkich walczących o wolną ojczyznę.

Artur Górski w swoim dziele „Monsalwat" tak o niej pisze: „Poezję polską XIX wieku rozpoczęła pieśń nowa, na świeżo nawiązanej strunie potrącana, prosta jak odezwanie się dziecka, a mocna i wierna jak przysięga. Stworzona gdzieś na obcej ziemi, pod obcym niebem, może w marszu, może w nocy przed bitwą i przyniesiona na ustach nad Wartę i Wisłę przeniknęła ona cały horyzont swej ziemi, wrosła w bruki miast i w serca pokoleń i jak błyskawica oblatuje odtąd granice swego państwa, czujna, zaniepokojona, szukająca choćby jednej w każdym pokoleniu piersi, w której mogłaby się zwinąć, spotężnieć i wypaść z niej piorunem natchnienia Zaczynała ona nowy wiek, nową historię i nową literaturę".

Pieśń napisana przez Józefa Wybickiego liczyła 6 strofek.

TEKST Z 1797 ROKU

1. Jeszcze Polska nie umarła.
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca moc wydarła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski
Do Polski z ziemi włoski
Za Twoim przewodem
Złączym się z narodem.

2. Jak Czarniecki do Poznania
Wracał się przez morze,
Dla Ojczyzny ratowania
Po szwedzkim rozbiorze.
Marsz, marsz itd.

3. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę
Będziem Polakamy,
Dał nam przykład Bonaparte
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz itd.

4. Niemiec, Moskal nie osiędzie
Gdy jąwszy palasza.
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I Ojczyzna nasza.
Marsz, marsz itd.

5. Już tam ociec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz itd.

6. Na to wszystkich jedne głosy.
Dosyć tej niewoli
Mamy Racławickie kosy
Kościuszkę Bóg pozwoli.
Marsz, marsz itd.



Michał Kleofas Ogiński
(1775—1833)

TEKST
Z EPOKI KS. WARSZAWSKIEGO

1. Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski
Za Twoim przewodem
Złączym się z narodem.

2. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę
Będziem Polakami
Dał nam przykład Bonaparte
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz itd.

3. Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla Ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz itd.

4. Mówił ojciec do swej Basi
Cały zapłakany
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz itd.

Należy się tu komentarz tylko do piątej zwrotki, zaczynającej się od słów „Już tam ojciec do swej Basi, mówi zapłakany..." Otóż Basią była Barbara Chłapowska, z którą w 1807 r. ożenił się gen. Henryk Dąbrowski. W 1831 r. dorobiono do tych jeszcze cztery zwrotki o tendencjach demokratycznych.

Już tu ziomek pilnie słucha
Czy armata ryczy
Walecznego pełny ducha
Każdy moment liczy.

Marsz, marsz itd.
Przyłączyć się rada
Jęcząca gromada.

Czy Polacy, czy Sarmaci
Będziem imię głosić
Byle w gronie dawnych braci
Miłą wolność głosić.

Marsz, marsz itd.
Naród na cię czeka
Przyjdź z prawem człowieka.

Choć sąsiady nas zniszczyły
I broń nam zabrały,
Sparty murem piersi były
I te nam zostały.

Marsz, marsz itd.
Każdy z nas chęć czuje
Wodza nie brakuje.

Dzielność wolnego oręża
Starzec opowiada
Aby szukać tego męża
Młody na koń siada.

Marsz, marsz itd.
Wolność dawne hasło
Jeszcze nie wygasło.

Z WOLNEJ TRYBUNY

„Monakomania" Krzysztofa Gruszczyńskiego

czyli „Pokolenie" oszukane

W numerze 2 (8) dwutygodnika „Pokolenie" pojawił się artykuł Krzysztofa Gruszczyńskiego pod tytułem: „Przewrót w Monaco".

Monaco, to dla Gruszczyńskiego polski uniwersytet z jego prawami, autonomią, tradycją i innymi „zbędnymi", „mieszczańsko - burżuazyjnymi" akcesoriami. Gruszczyński rozdziera szaty nad obecnym stanem rzeczy na wyższych uczelniach i bombarduje czytelnika przerażającymi wizjami przyszłości: jeśli tak będzie dalej, to pokolenie dziś studiującej młodzieży, okaże się po wyjściu z uniwersytetu niezdolne do pełnienia żadnej służby społecznej, jaką nakłada ją na nie nowe warunki.

— Ple, ple, ple... — napisałby na to Stefan Żółkiewski, gdyby nie zgadzał się z Gruszczyńskim. Ale, do rzeczy: pan Krzysztof Gruszczyński sam jest obywatelem Monaco, zainteresowanym w departamencie humanistycznym tego „państwa". Gruszczyński jest zwolennikiem zniesienia niepodległości Monaco.

Dla kogóż jednakże ono pracuje? Czy samo w sobie, oderwane od reszty otoczenia ma ono jakiekolwiek większe znaczenie? Czy polski uniwersytet potrafiłby odegrać właściwą rolę w oderwaniu od państwa polskiego, utrzymując pozycję negacji wobec Polski i polskości?

Monaco wkłada cały swój wysiłek w człowieka, który związał się z jego murami, chcąc uczynić zeń jednostkę zdolną do samodzielnego, twórczego życia na wysokim poziomie społecznym. To jest jego zadaniem i troską. Monaco, to kuźnia wiedzy i nauki dla całego społeczeństwa polskiego, Monaco to serce wielkiego ciała, które Gruszczyński radby zastąpić fałdem skóry, drugą wątrobą, namiastką jakiegokolwiek organu, aby tylko nie było sercem.

Studenci nie cieszą się sympatią świata pracy, — pisze Gruszczyński. Może akurat ta grupa studentów, do której należy autor artykułu z „Pokolenia", na potkał na swej drodze nie dość uświadomionych robotników i chłopów, by mogli się wzajemnie porozumieć, a może robotnicy ci okazali się „czarnymi reakcjonistami", że nie chcieli zadawać się ze studentami pokroju Gruszczyńskiego?

To, co pisze Gruszczyński, sprzeczne jest z prawdą. Jedność, solidarność, poczucie wspólnoty klasowej między studentem a robotnikiem i chłopem jest dziś tak silne, jak nigdy. Robotnik i student walczyli na jednej barykadzie, student i chłop byli w jednym oddziale partyzanckim. Bajdy Gruszczyńskiego zbiję jednym przykładem, jakiemu podobnych znam dziesiątki. Sam walczyłem w Warszawie, w oddziale, do którego **przyjechali specjalnie na powstanie** chłopi spod Radomia, w oddziale, w którym braterstwo młodej inteligencji i młodych robotników przypieczętowane zostało ofiarami życia, krwi i najdalej idącego samozaparcia oraz poświęcenia.

Gruszczyński biada, że omijali go ludzie, kolportujący „trójki". To jeszcze nie powód do rozpaczy. Studenci, robotnicy i chłopi głosowali nie tylko na „trójki": głosowali na listy: 1, 2, 3, 4 i 5, głosowali zgodnie ze swym przekonaniem i sumieniem. Ciekaw jestem czy np. w Anglii, konserwatyści podnieśliby krzyk, że ginie United Kingdom, jeśli młodzież brytyjska głosowałaby na Labourzystów i czy Labourzyści wyrywaliby sobie włosy z racji gremialnego oddania głosów młodzieży angielskiej na listę konserwatystów? Czy jeśli ktoś nie głosował na listę Nr 3, jest zdrajcą narodu? Nie jest nim. Tak samo, jak nie jest nim ten, kto na Nr 3 głosował. Po to było pięć list wyborczych, aby każdy oddał głos według swych przekonań.

Czapka bratniacka, którą Gruszczyński stara się odmalować jako symbol eksterytorialności i oziębłości wobec wszystkiego, co państwowe jest w istocie nie tylko znakiem obywatelstwa Monaco, ale świadczy o przynależności do organizacji, która kształci swych członków do przyszłego życia społecznego na wielką skalę. Czapka ta oznacza, że jej posiadacz nie chce spóźnić się na pociąg Historii po opuszczeniu bram uczelni, ale obok zdobyczy naukowych ma ambicję współtworzenia, współrządzenia, współbudowania.

Gruszczyński wołał o natychmiastową reformę studiów. Niech pan Gruszczyński zda sobie sprawę z tego, że do reform takich trzeba tęższych głów, niż studentów z pierwszego roku. Jeżeli żołnierz będzie dyktował posunięcia strategiczne generałom, to w armii zapanuje rozprzężenie i chaos. Reforma, jeśli zajdzie jej potrzeba, powstanie na wniosek ludzi kompetentnych, którzy rozumieją zasadę: „właściwy człowiek na właściwym miejscu". Uznajemy hierarchię potrzeb, uznajmyż — hierarchię powołań. Gruszczyńscy niech przygotują się do colloquiów i egzaminów, a przysłużą się lepiej Polsce, niż nawołując do reform studiów uniwersyteckich.

Inżynier niech buduje mosty, a rolnik niech orze i zasiewa. W imię bezpieczeństwa przejeżdżających po moście nie dopuścimy, by rolnicy budowali przęsła, a w imię zaspokojenia głodu, nie dopuścimy, by architekci brali się do gospodarki sztucznymi nawozami. Nie psujmy naturalnego uwarstwienia stosunków społecznych krzykiem niemowląt o generalskie epolety.

Gruszczyński insynuuje, że na każdym uniwersytecie jest, wprawdzie niewielu, młodych oenerowsko - falangowskich faszystów, którzy trzęsą Bratniakami. Uogólnienie to jest zarazem kłamliwe i obraźliwe. Jeśli oni są „wszędzie", a jest ich „niewielu", należy wytknąć ich z imienia i nazwiska i udowodnić swoje oskarżenie dla eliminowania ich z życia społeczności akademickiej.

Mleć językiem można i bez pokrycia swoich tez prawdą. Gruszczyński nie chce zdemaskować tych pseudofaszystów. Boi się? Chyba własnego ośmieszenia. Bowiem nie potrafi wskazać tych ludzi, a przyparty do muru wyzna, że „faszystą" jest ten ,kto nie głosował na listę Nr 3. Przyjmując bowiem tylko takie kryteria, można dojść do tez Gruszczyńskiego.

Do czego jednakże zmierza Gruszczyński? Co go piecze? Co go boli? Otóż to, że marksizm nie jest na uniwersytecie uznany za filozofię, dodajmy za filozofię przewodnią, za naukową religię panującą.

Panie Gruszczyński! Nie trzeba być marksistą, aby być demokratą; nie trzeba być marksistą, aby głosować na listę Nr 3; nie trzeba być marksistą, aby być tym, który zdąży na pociąg dziejów. Otóż to: uniwersytet nie był, nie jest i nie będzie szkołą propagandy partyjnej. Nie jest i nie będzie ograniczony do jednokierunkowości w ujęciu nauki. Mamy dziś modę na Marksa i Engelsa, za lat dwieście odnowi się moda na Spencera, za lat tysiąc przyjdzie nowy prąd, który spróbuje przeciwstawić się uznanemu dorobkowi filozoficznemu. Uniwersytet nie będzie zmieniał programu przy każdym upadku i odradzaniu się teorii. Uniwersytet to nie dom mody, który czyha na rewelacje z Wiednia, Paryża i Londynu. Zadania nauki sięgają ponad czas i prądy. Uniwersytet zarejestruje zarówno Tomasza z Akwinu, Kartezjusza, Bacona jak Marxa i Engelsa, przydzielając każdemu w sposób demokratyczny jednakową szufladkę. Śpieszący się na pociąg odjeżdżającej Historii wyciągnie tę szufladkę, która będzie mu odpowiadała. Uniwersytet nie każe wierzyć, uniwersytet wymaga, by umieć i uzasadnić — to wystarcza.

Jednakże nie dostrzega tego Gruszczyński i chce zrobić z Monaco coś w rodzaju Monte Carlo. Nie, panie Gruszczyński i Monaco nie stanie się ruletą wiedzy i nauki, gdzie będzie się stawiać na czarne lub czerwone. Ma ono zbyt mocne podstawy, których imiona: prawda i dobro Ojczyzny.

Gruszczyński nie lubi nazywać rzeczy po imieniu, nie wskazuje uczelni, w której syn robotnika ze wstępnego kursu dostaje gorsze przydziały, niż słuchacz lat wyższych. Pan Gruszczyński niech nie bajdurzy i nie oszukuje redakcji „Pokolenia", niech się zgłosi lepiej do pracy w Bratniej Pomocy, która bardzo potrzebuje ludzi, choćby niezdolnych, ale chętnych, wtedy zobaczy, na własne oczy, kto i za co otrzymuje przydziały. Ale widać łatwiej się pisze o konieczności pracy społecznej, niż się do niej przykłada rękę. W Bratnich Pomocach nie ma Gruszczyńskich, ci zgarniają forsę za artykuły o konieczności społecznego udzielania się i plotą o faszystach ,prowadzących Bratniaki.

Jest to bardzo łatwe:

— Nie będę pracował społecznie, bo tam, na „górze" siedzi faszysta — powiada sobie taki pan Gruszczyński. Jakto faszysta? — A, tak! Człowiek, który wyżej ceni Platona od Engelsa. I demokratyczne sumienie Gruszczyńskiego tonie w błogim spokoju. On jest w porządku.

Nie każdy jednakże, kto pisze „do licha" i wyznaje marksizm, jest już na poziomie Żółkiewskiego i może czuć się upoważniony do „otwierania zmurszałych okiennic uniwersyteckich na współczesne prądy" oraz udzielania porad swym profesorom na temat reform programów nauczania.

Do planów Gruszczyńskiego potrzeba niewiele: dobrej woli, rozumu, otwartych oczu i odrobiny entuzjazmu. Widać jednakże, że autorowi „Przewrotu w Monaco" zbytni entuzjazm zamglił szeroko otwarte oczy, skoro bratniackie rogatywki nazywa okrągłymi czapkami, a dobra wola i rozum staną wobec nie lada dylematu, gdy przy opuszczeniu Monaco otworzy swą walizkę i znajdzie w niej pieluszkę, śliniaczek, smoczek i „Kapitał" Marxa. Z tym iść w świat, to jeszcze za mało. Grubo za mało na wymagania tak drobnego państwa, jak Monaco, nie mówiąc już o wielkich w porównaniu z nim republikach.

Marek Antoni Wasilewski

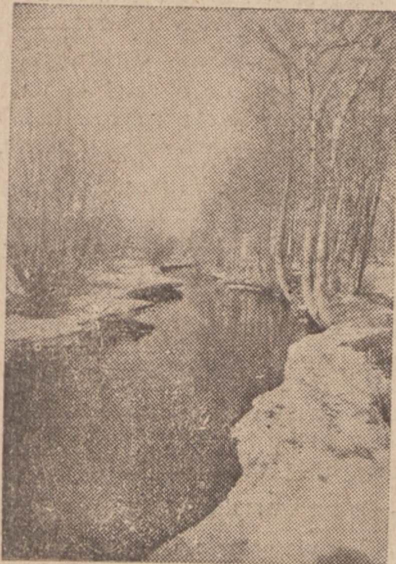
Na tym miejscu podawać będziemy opinie i wypowiedzi wyłącznie na odpowiedzialność autorów.

Artykuł ob. Wasilewskiego zamieszczamy również na tych samych zasadach, mimo iż nie jest on całkowicie zgodny z naszym poglądem na kwestię „Monaco" w życiu polskim.

Artykuł K. Gruszczyńskiego odbił się głośnym echem w polskiej prasie. I „Tydzień" daje możność wypowiedzenia się w tej tak ważnej kwestii.

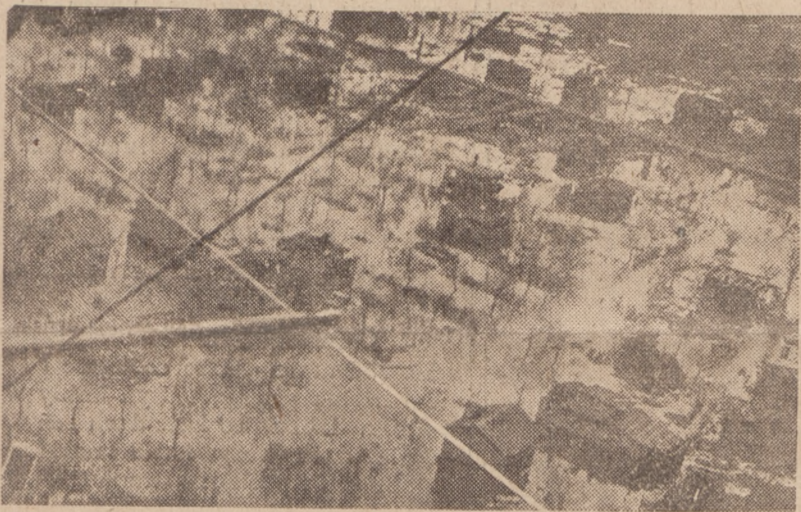
Film TYGODNIA

Powódź ustępuje

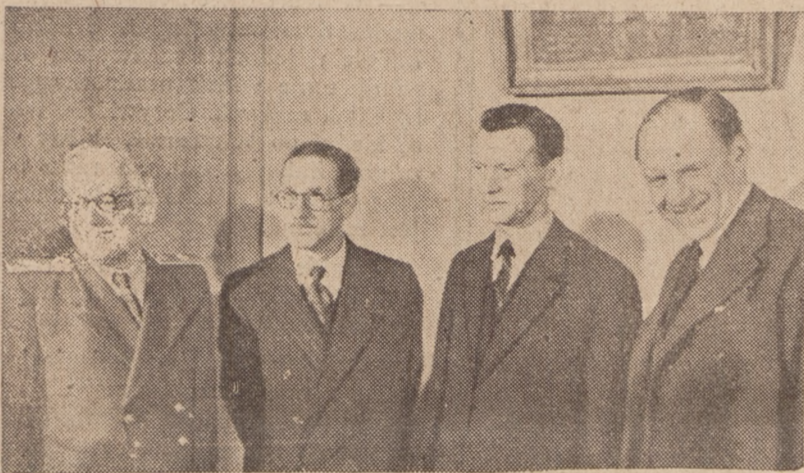

Nisa odmarzła!

Fot. Film Polski


Mieszkańcy Służewa mogą już wędrować po osiedlu, skacząc po prowizorycznych kładkach...


Z kabiny samolotu, patrolującego zalane tereny, można obserwować spadek wód, odsłaniających bezmiar zniszczenia.

Konferencja Moskiewska



W ramach konferencji moskiewskiej odbyły się również rozmowy zastępców spraw zagranicznych. Na zdjęciu zastępcy „wielkiej czwórki". A. Wyszyński (ZSRR), W. Strang (W. Brytania), Couve de Murville (Francja), R. Murphy (St. Zjedn.).


Stół obrad zastępców ministrów spraw zagranicznych.

Pogrzeb ś. p. gen. Świerczewskiego



Trumna ś. p. gen. Świerczewskiego, w myśl tradycji żołnierskiej spoczęła na lawecie.


Zwłoki ś. p. gen. Świerczewskiego przywieziono do Warszawy samolotem. Na lotnisku sześciu generałów, kolegów Poległego wzięło na ramiona trumnę, przenosząc ją na lawetę armatnią.


Kondukt ruszył wśród ruin Warszawy, odprowadzając zwłoki ś. p. Generała na miejsce wiecznego spoczynku. Okrytą flagą narodową trumnę eskortowali generałowie.

Niech każdy dzień „Tygodnia“ będzie błękitną niedzielą

ROZMAWIAMY Z MAKUSZYŃSKIM



Kornel Makuszyński w karykaturze Zdzisława Czermańskiego.

Korzystając z pobytu autora „Szatan siódmej klasy“ w Zakopanem, przedstawicielka naszej redakcji przeprowadziła rozmowę ze słynnym pisarzem.

— Wiecznie młodo wyglądającego i popularnego Kornela Makuszyńskiego zastaję w towarzystwie przyjaciół przy „pół czarnej“.

— Wywiad? Znam ten ból! Sam byłem wiele lat dziennikarzem, więc nosił wilk, teraz niosą wilka. Proszę, niech Pani zaczyna wiercić dziurę. — O przepraszam! niech Pani raczy pytać.

Na pierwsze pytanie o przeżyciach w Warszawie podczas okupacji Kornel Makuszyński mówi:

— Powiedział pewien sędziwy poeta: — I pocóż serce jadem wspomnień poić? Ale należy odpowiedzieć, albowiem przed wekslem, przed śmiercią i przed dziennikarzem nie ucieczesz, duszo nieszczęsna. Otóż: pozostałem w Warszawie, albowiem nie byłem ministrem, nie miałem auta i wiedziałem z dawnych doświadczeń, co to znaczy tułaczka. Poza tym — i to jest najważniejsze — chciałem zostać w nieszczęsnym mieście, w które wrosłem całym sercem. Wielu nas pozostało, starych szczególnie pisarzy. Żywot mój niezwykle urozmaicony. Kilka dni przed zawieszeniem broni walnęła w mój dom jedna z ostatnich bomb lotniczych i zagrzebała mnie w gruzach, z których się wygramoliłem, nieco nadwyrężony i okrwawiony, ale jako tako cały. Nec locus ubi biblioteka, zbiory, obrazy, setki listów od rozmaitych sław itd. „Wierni mnie towarzysze płaszczem okryli“ i przytulili w jakiejś piwnicy, w której zmartwiałą duszę wywołałem z pięt i we właściwym umieściłem siedlisku. Potem lata bezsilnej rozpaczy, niemej wściekłości, nocnych trwóg.

Powinna Pani w tym miejscu zakrzyknąć za Wyspiańskim: „Znam, zanadto dobrze znam“. W dzień pisało się nowe książeczki, po których pozostało jedynie gorzkie wspomnienie, albowiem bracia rodacy, ci co plądrowali w Warszawie po Powstaniu, zabrali rękopisy, zapewne do owijania śledzi. Niech tym rodakom kryminał lekki będzie, bo inaczej niż w kryminale chyba nie skończą.

Po wybuchu Powstania wygnano mnie z mego mieszkania na Sadybę Czerniakowską. Tam mnie przytulili serdecznie dobrzy ludzie. Przez niewiele dni było spokojnie. Kiedy jednak pewnej nocy polecono mi napisać: „Hymn bojowy Czerniakowa“, uśmiechnąłem się tym uśmiechem, który jest kwiatem smutku. I tę dzielnicę ogarnęło wspaniałe szaleństwo, bardzo zresztą krótkotrwałe, gdyż je wypalono ogniem i mieczem.

Podśpiewując sobie własny hymn, powędrowałem do Pruszkowa. W posępnym tłumie mignęła mi wybiedzona i szlachetna twarz Otwinowskiego i zamajaczyła krucza broda Wacława Rogowicza. W Pruszkowie zajęły się ratowaniem mnie najprawdziwsze anioły — siostry miłosierdzia i przezacni lekarze. Niech im Bóg jakimś wielkim za to zapłaci szczęściem. W Pruszkowie miałem zaszczyt siedzieć przez czas krótki obok czcigodnego b. prezydenta St. Wojciechowskiego. Dostojny był i wspaniały! W tym samym baraku wiercił się przemiły Wiechecki (Wiech) i wydobył dla mnie spod ziemi kielich gorzały. Nikt by jej nie znalazł, ale autor „Cafe pod Minogą“ wiedział, gdzie jej szukać! Potem „podróż w nieznane“ bydlęcym wagonem. I wylądowałem w „niebardzo podłym mieście“ Opocznie. Miły Boże! Co tam ze mną wyprawiano! Jak mówią Małopolanie: — „Wódka była, piwo było, omal, że wina nie było!“ Przygarnięto mnie potem na wsi, u poznaniaków pp. Makowskich, czyli „idź złoto do złota“, a Makuszyński do Makowskich. Przyszły Niemiaszki i wygnały mnie na dalszą włóczęgę. Zaczem Kraków, potem Zakopane, gdzie w tej chwili obrastam mchem.

Na moje pytanie o ostatnią nagrodę literacką poeta z uśmiechem odpowiada:

— Wielka literacka nagroda państwowa za rok 1926. Było to nadzwyczajne odznaczenie, może niezasłużone. Druga równie miła to w 1945 roku nagroda uczniaków zakopiańskich, którym opowiedziałem to i owo, wesoło i radośnie, a za to każdy berbeć przyniósł mi jajko, grudkę masła i sera. Przez dwa tygodnie jadłem tylko jajecznicę i soliłem ją solą wzruszonych łez.

— Co na warsztacie?

— Na warsztacie byłoby bardzo wiele. „Duch mocny, tylko ciało mdłe“. Przygotowuję dla Gebethnera dwie książki dla czytelników, dla których jeszcze pisać warto — dla młodych małpoludów, moich zaprzysięgłych przyjaciół. Dla pięknych panienek przeznaczone są „Szaleństwa panny Ewy“, dla brzydkich urwipołciów straszliwie awanturnicza księga: „Drugie wakacje szatana“. Poza tym dla „Przekroju“ — „Mój pamiętnik literacki“. Będą to plotki o nieśmiertelnych.

— Jaki jest obecnie stosunek Pana do pism literackich?

— Do pism literackich piszę rzadko. Nie umiem pisać dostojnie i ze śmiertelną powagą. „Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch boży“. Mnie duch boży kazał radować smutnych i pocieszać strapionych.

A teraz znów wracamy do rozmowy o Warszawie.

— Czy można spodziewać się Pańskiej wizyty lub stałego zamieszkania w Warszawie?

— W Warszawie byłem niedawno i odniosłem wstrząsające wrażenie. Radością jednak i zachwytem napełnił mnie widok niestrudzonych ludzkich mrówek. Oczywiście, wrócę kiedyś do Warszawy, kiedy się znudzę Zakopanemu. Na razie nie dają mi tu tego odczuć, ale miłość jest zmienna.

— Jakie jest Pana zdanie i jak kształtuje się praca z młodym pokoleniem?

— Młode poetyckie pokolenie jest bujne i skrzydlate. Szerzej niż my kiedyś oddycha. „Do nieba pójdzie po laury“. Życzę mu tego z całego serca, bo wiele widzę w młodej gromadce talentów, śmiałych i nieprzeciętnych.

— A teraz...

— „Więcej grzechów nie pamiętam“. Pozwolę sobie na zakończenie ofiarować miłym czytelnikom szanownego „Tygodnia“ karykaturę Czermańskiego. Nie jest to wprawdzie ludzka twarz, lecz katastrofa i wyraz boskiego gniewu, ale „czym chata bogata, tym struje“. Niech każdy dzień „Tygodnia“ będzie błękitną niedzielą!

Rozmowę przeprowadziła
Janina Zakrzewska

Leon Pasternak

PAŃSTWOWOTWÓRCZE PYTANIA PODSKAKIEWICZA

Zapytuję się niniejszym:
co jest dzisiaj najważniejsze?

* * *

Czy mam wątpić, czy mam wierzyć,
czy mam szeptać, czy mam szerzyć?

Czy mam twierdzić, czy mam przeczyć,
czy mam chwalić, czy złorzeczyć?

Co mam czytać, co mam umieć,
czego słuchać, co rozumieć?

Czy mam gwizdać, czy bić brawo,
czy mam w lewo iść, czy w prawo?

Czy zezwalać, czy zabraniać,
komu zdala już się kłaniać?

Jak się mam ustosunkować,
co uwielbiać, co szkalować?

Czy mam robić, czy zaniechać,
czy się martwić, czy uśmiechać?

Czy mieć można własne W C.,
jakie prądy wybrać w sztuce?

Co jest lepiej — mieć niewiasty,
czy opinię pederasty?

Czy cywilne uznać śluby,
czy też wstąpić trza do U. B.?

Co wyglądać ma z kieszeni,
czy „Nowiny“? „Odrodzenie“?

Czy też lepiej na ulicy
nie kupować już „Kuźnicy“?

Kogo wybrać z dwojga złego?
Majdańskiego? Żółkiewskiego?

Czyj ważniejszy dzisiaj głos i
kto jest z Anglii, kto jest z Rosji?

Kogo trzeba się obawiać,
na co liczyć, na co stawiać?

Być za rządem? Czy też wiem ja,
zejść (broń Boże!) do podziemia?

Ach, jak przeżyć to, jak przebyć!?
I w ogóle — BYĆ CZY NIE BYĆ?!!!

* * *

Bardzo proszę o odpowiedź,
bo już mi się mąci w głowie.

P. S. Więc niech żyje Odra — Nisa.
no i twórczość K. Brandysa!
(Ach, co piszę... mogę skrewić!)
Górą nasi!

PODSKAKIEWICZ

Jan Rojewski *Ilustr. Jerzy Zaruba*

LIST DO JANUSZA

Drogi przyjacielu!

Na wstępie niniejszego listu proszę Cię o ścisłą dyskrecję. Nikomu ani słowa, zwłaszcza Pasternakowi, Brzechwie i Huszczy. Przekonasz się za chwilę, że tylko twoje dobro mam na względzie. Pytasz, czy Warszawa jest już odbudowana, bo ślubowałeś w Wilnie nie wrócić, aż święty obraz Stolicy, który wyniosłeś we wrześniu wraz z neseserem, nie będzie znowu realny, jak ów neseser, który odkupiłeś w Sztokholmie. Niestety. Na razie odbudowano zaledwie fragment „Warszawy" Alberta Harrisa. Można, już „na Wisłę napatrzeć się z mostu".

Przy okazji przekonałbyś się, że pod wieloma względami Warszawa jest odbudowana, to znaczy taka, jaką była przed realizmem i „Kuźnicą". Stało się,



mianowicie tak, że w związku ze spodziewaną krą na Wiśle; profesor Hempel, fachowiec, inżynier-statyk, zalecił rozebrać most wysokowodny, aby przynajmniej ocalić budulec. W odpowiedzi otrzymał słowo honoru przedstawiciela wojska, że most będzie obroniony: „Mamy rozkaz cię utrzymać, albo na dnie z honorem lec!", „Nie damy całej konstrukcji, ani beleczki z niej!" Dopiero przy następnych mostach posłuchano nareszcie Hempla - Żółkiewskiego i uwzględniono przesłanki metodologiczno - naukowo - empiryczne.

Zato w wydawnictwach literackich i popularnych odbywa się w dalszym ciągu wytrwały bieg ku przeszłości, przy czym Jarosław Iwaszkiewicz wyprzedził Jerzego Borejszę o sutkę. (Rusycyzm, chciałem powiedzieć „o dobę"). Bo jednego niemal dnia ukazały się „Wiadomości Literackie" w dwóch wydaniach: jako „Odrodzenie" i „Nowiny Literackie". Pamiętasz na pewno nieśmiertelną scenę z filmu René Claira „Niech żyje wolność". W przeniesieniu na stosunki, panujące w naszej prasie, wyglądałoby to mniej więcej tak:

Początek września 1939. Grydzewski pakuje najcenniejsze przedmioty. Śpieszy się, bo na dole warczy już samochód i znajomy minister. Zamyka komplet „Wiadomości Literackich" do walizy i zamierza wyjść. W ostatniej chwili refleksja i redaktor pozostawia na wszelki wypadek we wnęce ściany jeden numer ukochanego pisma. Gdyby tamte wszystkie miał stracić w ucieczce.

Marzec 1947. Na wielkim Placu Wolności odbywa się ogólnopolski zjazd redaktorów. Na trybunie Jerzy Borejsza. Wzniósł dłoń, jak Marek Aureliusz, uciszając tłumy redaktorskie. Redaktor Bogusławski z „Ekspresiaka" przepisuje właśnie nagłówek z gazety wystającej z kieszeni redaktora Trojanowskiego: „Głowa kobiety w dole kloacznym", na co Trojanowski reaguje oburzeniem: „Jak pan śmie, to jest wyłączność „Czytelnika!" Borejsza uśmiecha się dialektycznie: „Nie kłócić się, wystarczy dla wszystkich". Tłumy klaszczą dziękczynnie, zwłaszcza zespół „Muchy" i redaktor wznowionego właśnie przez „Czytelnika" „Merkuryusza Polskiego Ordynaryjnego". Tuż przy Borejszy stoi redaktor Eile, „As" „Przekroju". Nieco dalej fascynuje nieskazitelnym ubraniem redaktor Tallan - Tallanciewicz z „Mody i Życia Praktycznego". W głębi, pod deklem korporanckim uśmiecha się redaktor, któremu Borejsza raz poraz przesyła całuski małym paluszkiem. Stanisław Ryszard Dobrowolski marszczy brew, pobrzękuje ostrogami i chwyta za szablę, wołając: „Merde". Uspokaja się dopiero pod kojącym spojrzeniem Iwaszkiewicza. Jakiś jegomość w kapeluszu naciągniętym na oczy obrzuca wszystkich nieufnym okiem. Szepce się wokół, że to jegomość przewidziany przez „Czytelnika" na redaktora „Tajnego Detektywa".

Pochyla się właśnie do ucha borejszowego. Borejsza blednie: „Żółkiewski nie przyjechał!" Z tłumu przedziera się dwóch podróżnych, podbiegają do stołu prezydialnego. Nie mogą dobyć tchu. Borejsza potrząsa nimi: „Na Boga kto jesteście?" — „Jesteśmy Pawełek Hertz i Kazimierz Brandys, przyjechaliśmy wydawać tygodnik „PSL — NOWA KUŹNICA"! Padają w obszerne ramiona Borejszy, który wykrzykuje: „Biedny Żółkiewski, nie rozumie tej prostej prawdy, że realizm znaczy robić co się da, z kim się da. Z kim on chciał robić realizm! Z wami? Naiwny metafizyk". Całuje z dubeltówki Pawełka Hertza. Paweł krzywi się kapryśnie. — „Nie lubię — zwraca się do Brandysa — takich ostentacji, to strasznie wiąże..." Tymczasem nakazano ciszę.

„Koledzy — zaczyna Borejsza. — Już w Lublinie — potrząsa bezskutecznie Kurylukiem, który śpi snem krakowskim na stole prezydialnym. — Już w Lublinie uważaliśmy z tutaj przytomnym Kurylukiem, że takie pisma jak „As", „Moda", „Dobry Wieczór", „Ikac", „Mucha", „Prosto z mostu", „Wiadomości Literackie" są nie do pomyślenia w nowej rzeczywistości. Bo jakiż był cel tych pism? Dzisiaj możemy mówić o tym głośno. Zbijać forsę, żeby Marian Dąbrowski mógł wybudować Pałac Prasy? Ogłupiać masy pracujące duperelami Fidlera, sensacjami „Czerwoniaka", mirażami żywcem kradzionymi z „Life'u", „Modą" dostępną dla kliki burżuazyjno - intelektualnej, dla czytelników tychże „Wiadomości Literackich"! Tak, „Wiadomości Literackich" — powtarza z naciskiem w stronę Iwaszkiewicza, który, śledząc niski lot chmur nuci: „Gdy wrócisz po tylu długich latach, zastaniesz pokój w kwiatach, jak gdyby nigdy grydz...". — „Nam nie trzeba intelektualnych figlów w rodzaju „Camery Obscury", Wiecha, któryby gwarą warszawską odciągał uwagę rzesz pracujących od spraw społecznych i ogólnopolskich ku sprawom regionalnym i małym!!! Nam nie trzeba surrealistycznych dowcipów, nieprzystępnych dla mas, zwariowanych Gałczyńskich i Kamyczków... — Eile szczypie Borejszę w łydkę — ...a przede wszystkim nie trzeba nam „Wiadomości Literackich!!!...

Zrywa się wiatr. Z pobliskiego, wpółrozwalonego muru wyfruwa numer „Wiadomości Literackich", ukryty przez Grydzewskiego przed siedmiu laty. Wielkie płaty papieru szybują nad placem, szczelnie zamkniętym czworobokiem redaktorów. Niesione wiatrem muskają to jednego, to drugiego redaktora. Udają, że nie widzą, ale trzymają się mocno za ręce, noga przy nodze, brzuch przy brzuchu, łysina przy łysinie... Ktoś wysunął nogę, sąsiad go przytrzymał, wyrwał się ktoś inny, trzeci, dziesiąty... Borejsza jeszcze woła, grzmi, błaga: „Nie trzeba Wiadomości!!!" — Za późno. Tłum redaktorów biegnie za „Wiadomościami", jak chłopcy za latawcem. Zląkł się sam Borejsza na widok Iwaszkiewicza i Dobrowolskiego, sięgających po upragniony egzemplarz, i pobiegł., Przewrócił stół prezydialny. Obudzony Kuryluk pyta nieprzytomnie: O co chodzi? — „O to chodzi!" — Borejsza czerwony od wysiłku podsuwa mu pod nos garść wyrwanego papieru. Rozkładają go pieczołowicie, jak obraz Matejki...: „Camera Obscura, co tydzień nagroda..."

Wybacz tę przydługą może wstawkę, ale tylko w ten sposób umiem sobie wytłumaczyć fakt, że „Nowiny Literackie" wyglądają jak „Wiadomości Literackie" z wygryzionym zadem, a „Odrodzenie" jak tychże „Wiadomości" sam zad. Słyszałem, że „Czytelnik" czyni starania, aby ożywić i pozostałe szpalty „Odrodzenia" i w tym celu galwanizują Kuryluka Kilo-Wattem. Poza tym, jak to chyba spostrzegłeś, każde nowe pismo zagaja pierwszy numer, konwencjonalnym, zwyczajowym już niemal, portretem i artykułem Nałkowskiej. Podobnie ludzie, spotkawszy się na ulicy, zagajają rozmowę nic nie znaczącym: „Co słychać"? — Gorzej, że Nałkowska bierze te gesty serio i tak na przykład w „Zwierzeniach" zwierzyła się naprawdę i paroma zdaniami przekreśliła to wszystko, co jej Brandys usiłował wmówić w recenzji z „Medalionów".



Pozostała nam już tylko „Kuźnica". Wiem, powiesz, że „Kuźnica" nie ma ludzi że Pawełek Hertz przeżywa jaskółcze niepokoje. To jest teraz zjawisko powszechne. Taki Welt-Herzt. To przejdzie z wiosną i podpisaniem traktatu pokojowego.

Pytasz, czy przyjechać, czy będzie z czego żyć. Nie zapominaj, że Warszawa jest lasem dziewiczym nietkniętym siekierą satyry. Prócz pism działają tu teatry monumentalne, BOSy, ZOMy, MSiKi i Jan Nepomucen Miller. Samym Janem Nepomucenem Millerem można nakarmić pięćdziesięciu zgłodniałych satyryków i zostanie jeszcze ze cztery kosze obrzynków. Ale lepiej nie zawiadamiaj Pasternaka, Huszczy i Brzechwy, bo Warszawa gotowa się jeszcze z samego strachu — poprawić!

Oczekuję Twojego przyjazdu

Jan

P. S. Przesyłam ci jednocześnie sto tysięcy złotych. Pięćdziesiąt od Kuryluka, żebyś nie pisał w „Nowinach Literackich" i pięćdziesiąt od Iwaszkiewicza, żebyś nie pisał w „Odrodzeniu". Jak widzisz, możesz śmiało sprzedać maszynę do pisania, którą z takim trudem pożyczyłeś od Brzechwy.

Jan

A. Krylow *Ze starych fraszek*

Łabędź, szczupak i rak

Daremne trudy i wysiłki,
Kiedy w zespole nie ma zgody:
I jego praca istna męka
I marne takiej pracy płody.

*

Pewnego razu łabędź, rak i szczupak
Chcieli pociągnąć wóz naładowany.
Więc się zaprzęgli. Ochoczo i żwawo
Ciężki wóz szarpie zespół źle dobrany.
Zadanie, zda się nie jest ponad siły,
Każdy z nich bowiem i zdrowy i młody.
Cóż, kiedy łabędź wzbija się w obłoki,
Rak w tył wóz ciągnie, a szczupak do wody?
Kto temu winien (sądźcie mili moi),
Że wóz na miejscu, jak stał, tak też stoi?

przełożył Stanisław Chruścielski

Wanda Melcer

O MIASTACH W DOLINIE

Wróciwszy do domu z bardzo interesującej premiery w teatrze M. O. przy ulicy Karowej „Miasto w dolinie" J. B. Priestleya — opowiadałam na gorąco tę sztukę dzieciom i cały czas, opowiadając, myślałam: jaka to świetna sztuka! Czemu nie zawsze jest się tego pewnym, będąc w teatrze? Nie przypisuję sobie niezwykłych zalet narratorskich — bo możnaby przypuścić, że to właśnie słuchając z upojeniem siebie samej, przyszłam do tak pochlebnych dla autora wniosków — ale sądzę, że dialog Priestleya nie jest dość zwarty, że po prostu nie zawsze nadąża za akcją i stąd pewne omdlenia uwagi, jakich doznajemy podczas widowiska. Ale nie róbmy uwag Priestleyowi: nigdy go one zapewne nie dojdą. Zajmijmy się raczej samą sztuką.

Więc jest taka wielka, zamknięta brama, na scenie półmrok, i przed tę bramę w tym półmroku zbiega się z różnych stron Anglii gromadka ludzi: dwie wytworne ladies matka i córka, w balowych strojach, młody lord z kijem od golfa w ręku, stara posługaczka, palacz okrętowy, dziewczyna z baru, urzędnik bankowy z żoną i wreszcie rekin finansowy, wielki macher giełdowy. Zainteresowania ich i częściowo koleje życia uwydatniają się w rozmowie. Wszyscy nie wiedzą, jak wzięli się w tej nieznanej okolicy, przed tą zamkniętą bramą, dokąd pójdą, jak wrócą. Znienacka brama się uchyla, u stóp skały, gdzie stoją, otwierają się szerokie perspektywy na leżące w dolinie miasto. Zaciekawieni turyści idą je zwiedzić, kurtyna spada.

Akt drugi i ostatni ukazuje nam tę samą gromadkę: wracają z miasta. Ale wracają w rozmaitym nastroju i z rozmaitymi zamiarami. Posługaczka wróciła po zapomniany koszyk, miasto jest cudownie piękne, pytano jej, jak jej się tu podoba, a dotychczas nikt nie pytał jej o zdanie, dostała też własny pokój. Młoda lady jest zachwycona miastem: ludzie są tam szlachetni i dobrzy, dzieci piękne, zostanie tam i będzie pracować, wróciła tylko, żeby się pożegnać z matką, która pójść za nią nie chce, nie zdobędzie się na to, żeby się wyrzec stosunków towarzyskich i dawnego trybu życia. Te same przyczyny odstręczają młodego lorda. Rekin giełdowy usłyszał, że na placu naprzeciwko banku budowane będą filie, szuka więc gorączkowo wspólników, którzy wspólnie z nim zdobyliby opcję na tereny i rozpoczęli na wielką skalę spekulację gruntową. Kiedy tak mówi, przechodzi obok nauczyciel z uczniami, nauczyciel zwraca się do spekulanta z prośbą, żeby pokątnie swoje propozycje nieco wolniej, bo młodzież nie wszystko zrozumiała, po czym zaczyna wyjaśniać słuchającym, jak to w dawnych czasach i innych miastach ludzie żyli, i czym się zajmowali. Oburzony spekulant ucieka, mierzi go „miasto w dolinie". Ale powrócił też z miasta młody palacz i dziewczyna, która go pokochała: dziewczyna za młodzieńcem, młodzieniec dlatego, żeby apostołować miastu wśród innych miast. Kurtyna zapada, a młoda parka wychodzi na przód sceny i zwraca się do widowni: słuchajcie, jest takie miasto w dolinie, gdzie wszyscy się kochają, gdzie szanuje się pracę, gdzie nie ma spekulacji, gdzie jest spokój i szczęście...

Ładna ta sztuka znalazła bardzo szczęśliwe sceniczne rozwiązanie w ciągle rozwijającym się teatrze M. O. „Studio". T. Błażejowski dobrze obmyślił dekoracje, reżyser umiejętnie grupował rozmawiających, spokojny konwersacyjny ton odpowiadał widać aktorom bo dali na ogół interesujące, przemyślane sylwetki. Wyróżniła się T. Rapacka, grająca posługaczkę. E. Porajska, jako nerwowa małżonka, młoda para w osobach Burawskiej i Lindnera, wreszcie Jerzy Marr, jako lord. Tłumaczenie J. Rylskiej swobodne.

W Anglii i w Ameryce ma powodzenie symbolizm, który datuje się na scenie bodaj że od Maeterlincka. Istotnie, trudno to ująć tę rzeczywistość, która przerosła i stokrotnie przegoniła sztukę i nadzieje. Ciekawie też spojrzeć na „miasta w dolinie" od strony Anglika. U nas pisze się o tym zupełnie inaczej, ale też miasta w dolinie wypełnione są dla nas tysiącem szczegółów, o których w Anglii wspomina się „sub rosa", czy „sub mgła", czy też po prostu właśnie symbolicznie. Wiemy na przykład, że w owych miastach, kryjących wiele wspaniałości, bardzo jest trudno o własny pokój, który tak się podobał rezolutnej posługaczce, jest natomiast wiele rzeczy, o których jej się nie śniło.

Nie byłoby Priestleya, gdyby nie było Maeterlincka, Shawa, O'Neilla, Rice'a i wielu innych — to pewne. Ale mimo to sztuka jego obok istotnych wartości ideologicznych i artystycznych ma jedną rzecz dużą i niespodziewaną: wdzięk. Urok młodości, ukazany w postaciach zakochanej parki i wdzięcznej lady w balowej toalecie, pewna naiwność w traktowaniu tematu, beztroskie uzasadnienie własnego stanowiska, że to niby nie schodzi do miasta w dolinie, żeby mu tym lepiej apostołować: wszystko to nadaje sztuce lekkość i powiedziałabym „zagraniczność", na którą właśnie nie stać autentycznych pracowników „miast w dolinie". Może to zabawnie tak mówić o Priestleyu, który prawdopodobnie jest brodaty, stary koń, ale wdzięk i niefrasobliwość, to cechy, które najsilniej rzuca się w oczy widzowi. Taki kwiatek, rzucony z daleka. Bóg zapłać!

W sumie: przedstawienie ciekawe i z różnych powodów warte obejrzenia. Napewno też będzie oglądane.



— Czy synek był grzeczny, kiedy tatuś pracował?

(„New Yorker")

TE NUTKI OSOBISTE
CZYLI DULSZCZYZNA ŻYJE

Część pierwszą nagłówka swego felietonu zapożyczyłem od Aldousa Huxley'a, który jest nie tylko powieściopisarzem, ale i felietonistą, wrażliwym na przejawy życia. W felietonie o tytule powyższym Huxley, podkreślając, że nie lubi „zwierzeń osobistych" w publicystyce, stwierdza jednakże, że czytelnika cechuje wielka ciekawość intymnostek z życia ludzi znanych i popularnych. Istotnie: interesuje nas, ile jaj na miękko zjada Walasiewiczówna, jaką piżamę nosi Szaflarska, kiedy Gałczyński bywa trzeźwy.

Teraz np. wszyscy komentują wyznanie Minkiewicza w „Nowinach Literackich", że o mały figiel nie został synem Iłłakowiczówny, tudzież oświadczenie tamże Brzechwy, że po wojnie wydał dwanaście książek, składających się przeciętnie każda z dwunastu stron.

Istotnie, kogo by np. nie zajęło, jak wygląda świetny humorysta i satyryk Jan Huszcza? Jest wysoki i gruby, mocno łysiejący, wygolony, w okularach; mówi przez nos, jakby miał polipa albo chroniczny katar; chodzi, trzymając ręce w kieszeniach, zaniedbany w stroju, przewalając się z boku na bok, rozlazły jak niedźwiedź. A pisze subtelnie: ostro i kłująco. W wielkanocnym numerze „Tygodnia" (Nr 14/38) napisał list do redakcji, który demokratyczne pismo nasze, szanujące wolność słowa, ogłosiło w całości. List dotyczył mnie. Ach, te uwodzicielskie nutki osobiste: biję się w piersi, ale i ja nie jestem wolny od reklamiarstwa!

W liście Huszcza oznajmił publicznie, że dopuściłem się względem niego „świadomej insynuacji"; przyrównał mię do „włamywacza", używającego „wytrycha", rozdarł szaty — on, kpiarz i pijus niczym Villon — „nie znajdując usprawiedliwienia dla tego rodzaju (jak moja) metody dorabiania kluczy"; wyraził żal obywatelski — on, humorysta — że jestem członkiem Związku Zawodowego Literatów, gdy raczej nadaję się do „zawodowych włamywaczy"; na koniec wyrżnął mię po łbie (on jest jak niedźwiedź, a ja drobny jak komar) dwoma epigramatami, które — jak sam zaznacza — ułożył o mnie w r. 1931 ś.p. Teodor Bujnicki, w jednym określony byłem jako „wazeliniarz", w drugim — nie jako „Wysz", lecz „wesz". Cóż? Buffon sprawiedliwie powiedział: styl — to człowiek. Wszystko to narobił Huszcza dlatego, że w recenzji z „Rzeczywistości" (Nr 11/35 „Tygodnia") napisałem o nim tylko tyle: „Poeta Pilawko to Jan Huszcza, piszący wówczas pod pseudonimem Jana Olechno. Putrament był wówczas autorem złośliwego epigramatu o jednym w dwóch osobach Huszczy. Historia wydobędzie kiedyś z mroku ten epigramat". Zdaje się, że niczym Huszczy nie uchybiłem. Skąd więc gniew i mocne słowa?

Co nas obchodzą — powiedzą czytelnicy — wasze porachunki osobiste?. Czy zresztą nie wszystko jedno: panu ktoś ukradł zegarek, czy pan komuś ukradł zegarek? Przepraszam, ale ile kochanek ma Duszyński — to państwa obchodzi? Jak Huxley nie lubię intymności; uważam jednak, że życie społeczne jest syntezą, dodatnią lub ujemną naszych spraw osobistych; felietonista, pisarz w ogóle — z kamyczków osobistych komponuje mozaikę życia — dokument czasu.

Otóż tak się zbiegło, że jednocześnie z listem Huszczy do „Tygodnia", w wielkanocnym numerze „Kuźnicy (ładne miałem święta!) kpt. Ryszard Matuszewski zaszczycił uwagą moje recenzje z „Rzeczywistości" i zakończył notatkę również cytatem z nieboszczyka, że jestem „wesz". Gdybym był humorystą jak Huszcza, powiedziałbym: „świadome" porozumienie między obydwoma literatami: mieszkają drzwi w drzwi w domu literatów łódzkich, jeden z nich ma (bo mi sam zdaleka pokazywał) „Osiemnaście ohydnych paszkwili na Wilnian" ś.p. Bujnickiego; powiedzieli sobie: trzask — zgnieciemy tę wesz... Ale ja nie jestem humorysta i nie bawię się w „insynuacje". Jestem filozof. Dla mnie ta sprawa ma aspekt psychologiczny i społeczny. Uderza mię w niej wytaczanie przez obydwóch moich „honourables oponents" (jakby się wysłowił parlamentarzysta angielski) jako argumentu przeciwko mnie — nieboszczyka (z nieboszczykami niełatwa walka) oraz zastanawia mię ich, którzy są pisarze postępowi, radykalni i, jak Matuszewski, marksiści — zastanawia mię ich... moralność mieszczańska. Oto „aspekt", który pozwala z porachunków osobistych uczynić zagadnienie socjalne.

Spośród wielu głębokich uwag Marksa mam jedną zawsze w pamięci — mianowicie o tym, że człowiekowi niezmiernie trudno jest wyzbyć się nałogów, nawyków i mentalności środowiska, w jakim się wychował: czym skorupka za młodu nasiąknie... Rzeczywiście, widzimy dziś nieraz świeżo upieczonych marksistów, którzy mówią jak Marks, a postępują jak burżuje — gorzej: jak pani Dulska. Kpt. Matuszewski np., polemizując łaskawie ze mną, cytuje z mojej recenzji kawałeczek, ucina tam, gdzie stwierdzam **historycznie**, że wydawcą „Żagarów" był nie Dembiński i jego grupa, lecz St. Mackiewicz i „Słowo" — czyli, że dembińszczycy wyrośli na gruncie konserwatywno-katolickim, aby się stać potem radykałami i komunistami — ucina i kończy: nic dziwnego, że Wyszomirski mnie się „czepia": już nieboszczyk Bujnicki nazwał go „wszą". Taka polemika — to mieszczaństwo i dulszczyzna: smutne owoce sanacji. Marksista i demokrata nie preparuje słów przeciwnika: powtarza je w całości (jak „Tydzień" zrobił z listem Huszczy). Marksista powinien pamiętać o tym, co Lafargue*) wysoko cenił w samym Marksie. „Marks pracował zawsze z najskrupulatniejszą sumiennością nie podawał żadnego faktu, żadnej liczby, co do których nie mógłby się powołać na źródła."

Dulszczyzną trąci również list satyryka Huszczy. P czego on dowodzi? Obawy skandalu dla siebie i chęci wywołania skandalu dokoła przeciwnika. Szkandał, moja pani, żebym ja miał być poetą Piławką z książki Putramenta, i żeby ta wesz wywlokła to na światło dzienne, i w dodatku „za życia osoby zainteresowanej": to już doprawdy, moja pani, z ponktu widzenia „dobrych obyczajów" przechodzi wszelkie pojęcie! Tak rozumuje satyryk, któremu wolno wszystkich brać na ostrze swego pióra, tylko on jest nietykałek. Mimoza. Gdy Wyspiański w „Weselu" sportretował znanych ludzi i cały Kraków wymieniał ich z nazwiska, nie oburzyli się ani obydwaj Tetmajerowie, ani Noskowski, ani Klimina, ani Czepiec z Bronowic (bo rzetelni artyści i chłopi są zawsze demokratami i mają poczucie humoru); wściekła się tylko ciotka Rydla — Radczyni, urzędnikowa galicyjska, a więc Dulska: ja temu jakiemuś Wyspiańskiemu pokażę!

Gdy Dostojewski skarykaturował w „Biesach" Turgieniewa (Karmazinow), a w „Braciach Karamazow" Wł. Spasowicza (adwokat Fetiukowicz), i cała Rosja dobierała do nich klucze, żadna z tych wielkości nie pisała protestów.

Dlaczego, gdy rozwiązałem nazwiska bohaterów „Rzeczywistości" (jest to typowy „roman à clef", klucz tedy czy wytrych jest tu konieczny), nie poczuli się dotknięci ministrowie: Jędrychowski, Sztachelski, Petrusewicz? Dlaczego ja się nie obraziłem na Mikułkę, gdy mnie przedstawił w swej powieści jako „perfidnego Niszomirskiego"? Bo myśmy się wznieśli nad moralność mieszczańską i jesteśmy tolerantami. Dlaczego więc Huszcza? Czyżby za epitet, który Putrament przydał Piławce na stronicy 292? Wystarczyło nadesłać do „Tygodnia" urzędowe sprostowanie. „Zacziem że štulja łomatj"? — jak powiada Gogol: poco zaraz włamywacz i wesz? Pisze Huszcza, „za życia zainteresowanych" nie wolno odsłaniać ich nazwisk. Ale Matuszewski w „Kuźnicy" też je odsłonił, i Huszcza mu tego nie ma za złe (bo jego nie odsłonił). Nie można jednemu nie mieć czegoś za złe, a drugiemu mieć to samo za złe: to — „podwójna" moralność mieszczańska.

„Za życia zainteresowanych"... Życie bierze się na gorąco. Czy ja wiem, jak długo będzie żył Huszcza? Może pięćdziesiąt lat, a wówczas i „Rzeczywistość" i cała nasza epoka zarosną pleśnią. Gdybyż nastąpiło to, czego pragnął Putrament w swym o Huszczy epigramacie, którego nie cytowałem w recenzji ze względów kurtuazyjnych, lecz teraz [illegible], skoro Huszcza wali we mnie nieboszczykami: „Kiedyż nareszcie zdechną Jan Huszcza i Olechno?"

Co do Bujnickiego, poświęcę mu osobny felieton: należy się on temu niepospolitemu a zapomnianemu potrosze poecie. Wyjaśnię w nim wszystko — nawet „wazeliniarza" i „wesz". Ja się nie boję szkandału.

JERZY WYSZOMIRSKI

*) Por. Karol Marks: „Dzieła wybrane". Moskwa 1941. Tom I, str. 109.

KONGRES (V) WE FLORENCJI

(Opowiadanie historyczne)

Carla w zamyśleniu wycierała ręce ręcznikiem, stojąc po środku kuchni. Emanuel wziął wodę w garnuszku i poszedł się golić. Gwizdał wesoło przy toalecie i czuł się tak, jakby ten pomysł teatru rozwiązał wszystkie zagadnienia. Szybko przebrał się i poszedł znowu do kuchni. Carla stała w tej samej prawie pozie i podniosła na niego wzrok zamyślony, przenikający go całkowicie. Czarne jej oczy przysłoniły się jak gdyby mgłą, położyła prawą rękę na sercu i powiedziała cicho, ale przenikliwie:

— Pan nawet nie wie, co to dla mnie znaczy pójść do teatru!

Manu zaśmiał się lekkomyślnie, postawił rondelek na miejscu i pochyliwszy się do ucha Carli szepnął:

— Niech pani przygotuje kawę wieczorem. Napijemy się, kiedy wrócę z Municipio.

Carla spojrzała na niego przestraszona.

— Czy pan mówi poważnie — powiedziała — poważnie, signor Emanuele?

— Dlaczego nie poważnie? Będzie kawa wieczorem?

— Będzie — ledwie dosłyszalnym głosem powiedziała Carla.

— Aha — domyślnie mruknął Krasowicz i wypadł z kuchni, bo profesor już czekał na niego w przedpokoju.

Przyjęcie dawane przez Municipio odbyło się w Palazzo Vecchio i przeszło w swej wspaniałości wszystko, co Krasowicz mógł sobie wyobrazić. Olbrzymie stoły ustawione wzdłuż pozłocistych ścian jarzyły się w blasku świec i pochodni, palących się w kutych żelaznych świecznikach. Lekki zapach dymu i kadzidła unosił się pod sufitem. Pani Soudray piękniejsza niż zwykle, w sąsiedztwie Schwartzenberga i jakiejś włoskiej znakomitości, członka rodziny królewskiej, który się nagle na zjeździe objawił, prezydowała przy jednym z tych stołów. Miała na sobie zieloną suknię, biały aksamitny płaszcz z długimi końcami rękawów, z których wynurzały się jej przepiękne ręce, białe, toczone i zakończone chciwymi palcami. Na głowie miała małą koronę, diadem z brylantów i szafirów. Wszyscy patrzyli w nią jak w obraz. — Krasowicz nie odrywał wzroku od niej, chociaż siedział bardzo daleko i przy innym stole. Muzyka wojskowa grała na balkonie, w lśniącej marmurowej posadzce odbijały się światła, wszystko się zlewało w jeden błyszczący obraz, zwłaszcza po kilku kieliszkach coraz znakomitszego wina, jakie roznosili lokaje w pomarańczowej i szarej liberii.

Krasowicz, patrząc na ręce pani Soudray, przypomniał sobie biedne, małe dłonie Carli, powalane węglem, wymoczone w mydle, brzydkie i zniszczone przez codzienną pracę domową. Ale nie doznał tym razem czułości. Gniewała go żałosność Carli. Rozmawiał ze swą sąsiadką Włoszką o rzeczach tak banalnych i obojętnych, że mógł nie przerywać swego rozmyślania.

— Głupie, małe ręce Carli — powtarzał w myślach — biednej Carli!

I przypomniał sobie, że czeka ona na niego w tej chwili, siedząc w kuchni na drewnianym stołku. Może znowu płacze? — Głupia!

Po obiedzie podano kawę w sąsiedniej jeszcze wspanialszej sali pełnej rzeźb i fresków. Pani Soudray z filiżanką w ręce, odprowadzana wzrokiem wszystkich obecnych, którzy ustępowali jej z drogi, przeszła przez całą długość wspaniałej komnaty wprost do Emanuela:

— Jaka dobra kawa, prawda? — powiedziała, podnosząc na niego spokojne, niebieskie, morskie jak gdyby oczy.

— Jaka dobra kawa, prawda? — spytała w godzinę później Carla, stojąc przed Emanuelem w jego skromnym pokoiku z podartymi tapetami. Znowu nie zapalili światła, ale Emanuelowi szumiało w głowie od wina, blasku i przyjęcia się, świat wydawał mu się czymś nieskończenie pięknym, Carla piękniejsza od pani Soudray, pani Soudray piękniejsza od Carli. I nad oknem to niebo, niebo prawie zielone.

Kobiety zdawały mu się dotąd istotami dalekimi i niedostępnymi; jeżeli dawał ujście swojemu zapałowi, to tylko w powieściach, gdzie nawet był pełen rozpusty. Teraz nieśmiałe pocałunki Carli przyjmował ze zdziwieniem, z głęboką radością, z wstrząśnięciem całej swej istoty do samej głębi. Łamanie się tego kruchego ciała w rękach odczuwał jak dar jakiś najdroższy, pokrywał ją pocałunkami z entuzjazmem szczęścia i prawdziwej, przedziwnej młodości. Jego własne uczucia sprawiały mu niespodziankę. Carla mdlała mu w ramionach i osuwała się w jakiś niebyt, zimna cała jak ze słoniowej kości. Rozumiał cały dar jej ciała i nie zdziwił się, kiedy mu powiedziała:

— Zrozum, że oddałam ci wszystko, wszystko co miałam. Teraz już nie mam nic.

— Masz mnie — powiedział łagodnie i uśmiechnął się w ciemności.

— O, nie! Ty jesteś obcy — un forestiere, jutro już cię tu nie będzie.

— Jutro idziemy razem do teatru!

Leżeli obok siebie odwróceni twarzami w przeciwne strony. Emanuel patrzył w okno, w jasność za oknem, jesienną, nocną. Carla odwróciła się do ściany. Dzisiaj nikt nie śpiewał na górze na piazzale Michelagnole — tylko gdzieś dalej znad Arna dochodziły dźwięki mandoliny. Od czasu do czasu samochód z sykiem przejeżdżał po nadbrzeżu. Było nad wszelki wyraz spokojnie i szczęśliwie.

Krasowicz pochylił się nad głową Carli i podłożył nagie ramię pod jej rozsypane puszyste włosy. Ani drgnęła, patrzyła w ścianę; gdy schylił się niżej spostrzegł, że wlepiła w przestrzeń nieruchome źrenice. Oczy nie mrugały i w ich czarnej przepaści czaiła się mieszanina bólu, rezygnacji i może trochą chorobliwego niepokoju. Dotknął jej ramienia.

— Wiesz co — powiedział — chodźmy teraz tam na górę. Jeszcze tam nie byłem.

— Nie byłeś na piazzale? — spytała zdziwiona. Uniosła się na łokciu i spojrzała w okno. Niebieskie światło zaszkliło się w jej błyszczących oczach, jeszcze większą bladością pokryło jej ściągnięte rysy, jeszcze większym cieniem jej fiołkowe rzęsy. Wydała mu się w tej chwili jakby przebudzona z długiego snu, nowa, żywa — a jednocześnie strasznie smutna.

— Jesteś piękna — powiedział.

Uśmiechnęła się.

— Sono brutta — sono molto brutta — Gazza — szepnęła nagle, udając akcent swego ojca i okrutny, brzydki uśmiech zakwitł na jej wąskich wargach. — Gazza — powtórzyła, — una gazza, una oca...

Ubrali się szybko i cichuteńko wyszli z domu. Późno już było i jakaś resztka księżyca weszła z tamtej strony miasta. Ale ścieżki, obrośnięte sztywnymi, zielonymi krzewami pogrążone były w zupełnym mroku. Mocno trzymając się w pół dźwigali się w górę, jakby podnosząc się z ciemności ku światłu. Jeżeli dotknęli liści żywopłotu, natykali się na gęstą, zimną rosę, oznakę jesieni. Ale powietrze oddychało ciepłem i szły nim jakieś pogodne, łagodne podmuchy. Schodami, ścieżkami, ciemną drogą szli wciąż w górę. Carla znała tutaj widać każdy kamień i prowadziła Emanuela prawie na ślepo. Stawali tylko, aby się pocałować. Wreszcie znaleźli się na górze u stóp bronzowego Dawida. Całe miasto leżało przed nimi.

W dole Arno połyskiwało w blasku oddartego księżyca jak skrzydło niebieskiego ptaka. Pokratkowane miasto zapadało ze wszystkich stron w cień, przerywany drobnymi perełkami lamp. Gdzie niegdzie tylko wznosiły się w górę czarne pióra cyprysów. I w sennym tym pejzażu tkwiła różowa, nawet w niebieskim cieniu nocy, w czerwonym świetle księżyca, różowość św. zachowująca, kopuła katedry. Jej szlachetne linie, przypominające linie toskańskiego dzbana, rysowały się najwyraźniej wśród reszty budynków stopionych w szafirową noc. Kampanilla Giotta strzelała w górę obok niej, podobna do kwiatu lilii, herbu miasta. Okna jej patrzyły niby czuwające oczy i była w nich ta sama mieszanina rezygnacji i buntu, jaki widział przed chwilą w oczach dziewczyny. Było tak pięknie, aż boleśnie; tak szczęśliwie, że aż strasznie. Emanuel zacisnął zęby z wysiłku, żeby nie krzyknąć. Gdyby się wydobył dźwięk z jego gardła, byłby to krzyk szczęścia, rozkoszy i rozpaczy zarazem, bo wiedział, że to uczucie trwać może tylko przez jedną chwilę.

— Jakież to cudne miasto — powiedział, nie patrząc na dziewczynę — twoje miasto!

— Jakież puste i straszne stanie się bez ciebie — odpowiedziała mu Carla.

W tej chwili musnął ich głowy wiaterek, lekki i ciepły, idący do Viale dei Colli i niosący wątły i subtelny, przenikliwy aromat, jak gdyby gdzieś kwitły pomarańcze. Ale przeszedł i pozostawił po sobie zapach butwiejących liści.

— Jesień — już jesień — szepnęła Carla.

Gdy schodzili ku domowi, wymieniając słowa bez znaczenia i szepty znane wszystkim kochankom, nie stojące w żadnym stosunku do tego, co oboje przeżywali, pogrążali się powoli w cień czarny panujący na dole. Od rzeki podnosiła się zjadliwa mgła. Carla zatrzymała się i powiedziała to samo:

— Pamiętaj, że dałam ci wszystko. Że nie mam już nic.

— Jest to największy dar jaki kiedykolwiek otrzymałem — powiedział Manu i pocałował ją w usta.

Nazajutrz zupełnie ogłupiały siedział na wykładach. Na szczęście tym razem nie posadzono go przy prezydialnym stole, gdzie goonie jaśniała biała broda profesora. Hrabina Soudray szukała go wzrokiem, ale unikał tego spojrzenia, zaszył się w jakiś ciemny kąt. Nie rozumiał zupełnie nic z odczytu, nie wiedział o czym mówił — pięknie i dość długo — profesor Cieliński i podczas kiedy intelektualiści radzili nad tym jak ratować kulturę europejską, schorzałą snać i niedołężną, — on myślał, o Carli i o tym, co teraz będzie. Musi zostać na dłużej we Florencji, ale skąd weźmie pieniędzy? Co powie matce? Jak się to wszystko skończy? I dlaczego ma się skończyć — złapał się na tej myśli — przecież to się dopiero zaczyna?

Napisał JAROSŁAW **IWASZKIEWICZ**

Pomiędzy posiedzeniem Zjazdu, a śniadaniem znalazł chwilkę, aby wpaść do pensjonatu, ale żałował potem tego. Zastał scenę domową w całej pełni. Stary Lucchesi krzyczał biegając to do kuchni, to do swojego pokoju. Carla płakała tym razem w stołowym, a panna Goethe niepewnie próbowała stawiać czoła, wspominając widocznie o swojej należności, bo Lucchesi wołał:

— A kto mnie zrujnował, jak nie te kobiety? Kto mnie obrał ze wszystkiego? Moja żona! Sami doktorzy ile kosztowali! Moja córka! Czyż to stworzenie może prowadzić pensjonat? Czy to tak się prowadzi pensjonat? Ona rujnuje mi nie tylko pensjonat, nie tylko opinię, ale i zdrowie! Skąd ja pani wezmę te trzy tysiące lirów? Odjadła je już pani chyba ze sto razy. A gotówkę skąd wezmę, jeżeli mam taką córkę? Któż się z nią ożeni? Brudna i brzydka! Niech pani popatrzy! — i nagle spostrzegając płacz Carli, porwał się i podniósł głos o oktawę. — Nie płaczże! Raz się nareszcie pokaż z niezaczerwienionymi oczami! Wyglądasz jak królik, jak sroka, jak gęś! Una gazza, una oca!

Korzystając z tego, że ex-porucznik trzasnąwszy drzwiami uciekł do kuchni, Krasowicz zjawił się w stołowym. Carla przestraszyła się nie na żarty ujrzawszy go i porwała się z kanapki, na której siedziała. Schwyciła go za ręce.

— Skąd? Dlaczego? — pytała.

— Wpadłem na chwilę. Chciałem cię zobaczyć. Nie będę już mógł być aż wieczorem. Pamiętaj, przyjadę po ciebie przed ósmą. O ósmej musimy być w teatrze.

— Ależ ja nie pojadę do teatru. Ojciec mnie nie puści

— Panna Goethe mu wytłumaczy. Profesor mu wytłumaczy.

— Ah, Emanuele! — Carla gestem rozpaczy opadła z powrotem na kanapkę.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział prędko i zdawkowo Krasowicz. Wziął jej małą podrapaną rękę i pocałował.

— Dio mio! — szepnęła Carla, a Emanuel szybko wycofał się, zbiegł pędem ze schodów i wpadł do taksówki. Obejrzał się na okno w jadalni. Carla smutna i biedna stała w nim patrząc na oddalający się samochód bez uśmiechu.

Szofer pognał co siły, tak że Krasowicz ledwie mógł uprzytomnić sobie to uczucie niechęci i obcości, jakiego doznał ujrzawszy Carlę w dzień, w tym straszliwym środowisku, wśród smrodu garnków i krzyku swarliwego ojca. Ledwie zdążył wzruszyć ramionami na, to, w co się niepotrzebnie wplątał, kiedy samochód już stanął przed hotelem „Britania"

Krasowicz nie domyślał się, ile figlów protokułu trzeba było zrobić, jak nałamać głowę — i krągły stół, i niewygodna liczba dwunastu osób, w tym kilka małżeństw, była tu w robocie — aby wypadło tak, że Krasowicz siedział przy pani Soudray. A jednak siedział, po lewej wprawdzie stronie, i widać było, że jedynie dlatego, aby jeden z poważniejszych panów nie miał za sąsiadkę żony, ale w każdym razie znalazł się obok hrabiny, podczas kiedy Luśniak był wyrzucony zupełnie poza nawias, i nie mógł nawet zdaleka zamienić kilku słów ani z hrabiną ani ze swoim kolegą. Zresztą pani Soudray przez cały czas śniadania rozmawiała wyłącznie z prawym sąsiadem, bardzo poważnym Niemcem i zamieniła z Emanuelem parę ogólnych i zdawkowych frazesów. Dopiero kiedy wstano od stołu i przechodzono na kawę do cieplarni, powiedziała Emanuelowi poufnie:

— Niech pan nie wychodzi razem ze wszystkimi. Proszę zostać, przejedziemy się trochę na spacer.

Emanuel posłuchał. Luśniak dawał mu wielkie znaki swoimi smolnymi ślepiami ,ale udawał, że tego nie rozumie. Luśniak wyszedł, wzruszając ramionami. Pani Soudray przy wszystkich zadała Emanuelowi tylko pytanie, czy ma duży bagaż z sobą.

— Jeden malutki kuferek — zaśmiał się Emanuel.

— Ach to świetnie się składa — powiedziała hrabina odwracając się. Krasowicz nawet nie odważył się zapytać, co się tak dobrze składa. Poni Soudray stawała się tajemnicza.

Kiedy zostali sami, powiedziała do niego rzeczowo:

— Niech pan na mnie zaczeka w hallu. Samochód zapewne stoi już przed domem. Ja się tylko przebiorę i zaraz zejdę. Czy pan już zna Fiesole?

— Nie, pani.

— To doskonale. Pojedziemy na Fiesole. Za pięć minut będę na dole.

Pięć minut przeciągało się w nieskończoność. Krasowicz chodził po hallu tam i z powrotem, aż go się portier zapytał na kogo czeka. Usłyszawszy odpowiedź, uśmiechnął się słodko:

— O na hrabinę Soudray to się zawsze długo czeka!

Z chwilą kiedy zostawał sam, natychmiast wracał myślą do Carli. Teraz już nie wzruszał ramionami na to, w co się wplątał, ale tak bardzo chciał ją zobaczyć, prostą, smutną i bez uśmiechu, tak jak stała w oknie pensione. Spozierał raz po raz na zegarek i wreszcie postanowił, że jeżeli za trzy minuty hrabina Soudray nie wróci, ucieknie na resztę popołudnia do Carli. Ale właśnie w końcu owych trzech minut hrabina Soudray nadeszła w innym stroju, w małym szarym kapelusiku z popielatą woalką. Świeża i ładna jak wiosenny poranek.

Wsiedli do wspaniałego samochodu z francuskim numerem. Pani Soudray kazała jechać na Fiesole. Krasowicz zwrócił uwagę na niezwykłą urodę młodego szofera, pani Soudray rozpoczęła rozmowę, opowiadając, że ten mały jest jej wychowankiem, że się nim opiekuje od dzieciństwa, że jest doskonałym fachowcem, że jest bardzo roztropny i bardzo przywiązany. Szofer słyszał wszystko, co się o nim mówiło, ale się nie poruszył, Emanuel zauważył tylko, że uszy chłopca zapłonęły purpurą. Z pewnym zdziwieniem spojrzał na panią Soudray, która też zaraz porzuciła ten temat.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

IGNACY WITZ

WARSZAWA 1945 — TADEUSZA KULISIEWICZA

Kiedy zechcielibyśmy zanalizować wyraz przeżycia doznanego przez widza oglądającego prace Tadeusza Kulisiewicza wystawione w Muzeum Narodowym w Warszawie, z góry, na samym wstępie rozważań tych, musimy rozróżnić dwa istotne aspekty tej sprawy. Dwa aspekty, kórych nieukazanie, zatarcie różnicy pomiędzy nimi wywołać może mylne pojęcie, błędne i krzywdzące poniekąd artystę. Musimy zająć w tym wypadku swoją osobistą pozycję i z niej rozszyfrować wszystkie ciemne okoliczności.

Rzecz idzie o sztuce, mowa jest o temacie. Rzecz będzie w samej istocie plastyki, mowa będzie o sprawie drugorzędnej — o anegdocie.

Temat rysunków Kulisiewicza — jakkolwiek dla artysty nie był niczym innym aniżeli tworzywem plastycznym — jest każdemu z nas bliski, mało, jest drogi i porządany. Dlatego też być może temat ten pasjonuje nas, zajmuje, przyciąga przez co zaciera rzeczy inne niemniej ważne, niemniej interesujące.

— Piękno ruin — oto słowa jakie w przeróżnych intonacjach słyszymy na wystawie. Widzowie mówią: Kulisiewicz ukazał piękno zniszczonego miasta. To ważne co mówią widzowie, ale nie zawsze słuszne.

Piękno ruin, co to znaczy? Kiedy usiłuje się formułować definicje piękna, dochodzi się do rezultatów, które nic nie znaczą. Jakie jest piękno klasyczne, piękno absolutne, piękno dzieła sztuki i piękno tworu natury? Jaka i gdzie leży granica, poza którą rozpoczyna się ono? Piękno jest pojęciem filozoficznym, jest terminem najczystszej abstrakcji. Piękno dzieła sztuki jest realną i rzeczywistą wartością aczkolwiek abstrakcyjną dzieła sztuki a zawarte jest w jego doskonałości plasycznej, w jego wartościach formalnych, w jego artystycznej doniosłości i prawdzie artystycznej, w jego temacie artystycznym.

Temat, anegdota, przedmiotowość, ba najpiękniejsze i najdoskonalsze idee ludzkie przetworzone w dzieło plastyczne a pozbawione tych rzeczy o jakich mowa była w poprzednim zdaniu na piękno dzieła sztuki nie wpłyną. I nadowrót — rzeczy odrażające, ohydne w swym bezwstydzie brzydoty wdzierają się nagle w krainę piękna legitymując się wartościami artystycznymi, wartością sztuki. Sprawdzić tę rzecz można łatwo. W sąsiedniej sali Muzeum Narodowego, ściana o ścianę z Kulisiewiczem wisi Goya.

A więc wniosek. Fałszywe, pochodzące i wynikające z przesłanek romantyzmu stanowisko identyczne nieomal ze stanowiskiem Hrabiego z „Pana Tadeusza", który:

„...lubił widoki niezwykłe i nowe;
Zwał je romansowymi; mawiał, że ma głowę
Romansową.

— zaciemnia obraz pracy Kulisiewicza.

Kulisiewicz rysując Warszawę, ruiny warszawskie, nie chciał — tak zdaje się — rezultatu wyrażającego się w tym, że zainteresowanie widza jego pracą, zamyka się w poznaniu ulicy Miodowej czy Starówki. Nie chciał aby miara jego twórczości była taka jak ta, kiedy publiczność wali na wystawę obrazów dlatego, że jest tam portret pięknej pani aptekarzowej z rynku, bardzo podobny i dlatego zaraz piękno i dlatego zaraz sztuka.

Szukając porównania, mimo woli przypominam sobie Warszawę Canaletta. Czy można znaleźć coś wspólnego u obu artystów? Chyba tak. Zarówno Canaletto jak i Kulisiewicz przepełnieni są ostrą wrażliwą reakcją na współczesność, reakcją inną w swym wyrazie ludzkim, wyrazie plastycznym, ale reakcją godną artysty. Budują oni realny i prawdziwy obraz Warszawy, inny ale wierny. Inny, bo Warszawa jest tak inna, wierny, bo uczciwy i zgodny z ich osobistą wizją.

Nie przeczmy, nie negujmy piękna ruin warszawskich, piękna podkreślonego tragizmem człowieczych przejść, piękna społegowanego sentymentem pamięci i bólem, ale rozpatrując dzieło sztuki, stosujmy kryteria inne. Kryteria wartości plastyki. Tym bardziej, że jeżeli mówić mamy o Kulisiewiczu to kryteria te są istotne, są potrzebne i na miejscu.

Dziwność form, nieoczekiwane kontrasty kształtów, skrzywienie statyki i



zaprzeczenie prawa grawitacji architektonicznej plus pozaplastyczne przeżycie warszawiaka — oto temat artysty.

W osiemdziesięciu rysunkach stara się on o wydobycie wyrazu plastycznego, o znalezienie formy, która w sugestywny sposób przedstawi osobistą jego wizję.

Nawarstwia więc plany lub sprowadza je do jednej płaszczyzny. Komponuje przedziwne formy i nagina je do surowej dyscypliny dzieła plastycznego, buduje z nich tektonikę rysunku.

Droga, którą przeszedł Kulisiewicz, jest zadziwiająca. Od teki „Szlembark" do „Warszawy" prowadzą lata uporczywego trudu i dążenia do prostoty. Od ekspresjonistycznych, świątkarskich postaci ze Szlembarku do beznamiętnej, skromnej i prostej formy. Kulisiewicz operuje światłem, rysując trzyma się zasady malarstwa, tej o której mówił Cezanne, że kolor określa formę. A rysunki te, jakkolwiek jednobarwne, posiadają dużą dosyć skalę kolorystyczną, wielką rozpiętość walorową.

Wystawa Kulisiewicza jest wydarzeniem w polskim życiu plastycznym, jest wydarzeniem poważnym i głębokim. Jest poza tym pierwszą próbą poważniejszego ujęcia tematu zburzonej Warszawy, próbą uwieńczoną dodatnimi nader rezultatami. Dzieło Kulisiewicza nosi znamiona sztuki popularnej, jasnej i dostępnej szerokim kołom społeczeństwa. Takie zadanie stawiał zresztą on przed sobą, gdyż powstały one jako rysunki do teki, którą ma wydać „Czytelnik".

Teka ta, z której na wystawie znajduje się szereg odbitek w technice światlodrukowej, jest wykonana wzorowo pod każdym względem i oby była zapowiedzią i inauguracją stałego a tak potrzebnego wydawnictwa, propagującego dzieła naszej sztuki zarówno historycznej jak i żywej.

NOWE KSIĄŻKI

B. A. Keller. Narodziny życia. Tłumaczył Edmund Dakowski. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 58.

Irena Merżan. Moja praca w domu dziecka z przedmową Ireny Chmieleńskiej. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 96.

Mikołaj Rej. Wybór pism opracował Stanisław Adamczewski. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 144.

Jan Dembowski. Nauka Radziecka. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 244.

Władysław Broniewski. Komuna Paryska z rysunkami Władysława Darzewskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Zofia Charszewska. Franek, jego pies i spółka. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 98.

Jan Dylik. Geografia Ziem Odzyskanych. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 307.

Po Konferencji Poczdamskiej z przedmową Jerzego Kowalewskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 60.

Stanisław Strzelbicki. Prawidłowy zarząd domem. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 64.

Inż. Ignacy Borejdo. Dlaczego stal. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 41.

Wacław Barcikowski. Od demokracji liberalnej do demokracji społecznej. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 64.

Julian Gałaj: „Mystkowice wioska mała" (cz. 1 — „Paweł Lękis" str. 224, cz. 2 — „Kameleony" str. 40, cz. 3 — „Krystalizacja" str. 292). Spółdzielnia wydawnicza „Książka".

KRONIKA KULTURALNA

DZIESIĄTA ROCZNICA śmierci Karola Szymanowskiego († 29 marca 1937 roku) została upamiętniona szeregiem artykułów w prasie polskiej. „Odrodzenie" wystąpiło nawet ze specjalnym numerem, poświęconym wielkiemu kompozytorowi. Ukazały się dwie książki wspomnień o nim — Jarosława Iwaszkiewicza i Jerzego Mieczysława Rytarda. Rocznicę tedy uczczono godnie. Większości artykułów możnaby uczynić ten tylko zarzut, że zawierały zbyt wiele materiału anegdotycznego o znakomitym „Katocie", a za to mało analizy i oceny jego twórczości. Przewijało się przez nie wciąż zdanie, że Szymanowski jest największym naszym kompozytorem po Szopenie, zdanie to jednak nie było należycie rozwinięte i udowodnione. Stromenger pisał np. pięknie w „Robotniku": „Po długiej drodze pątniczej, po tułackach poszukiwacza nowej muzyki polskiej, doszedł Szymanowski do wyżyn swej sztuki własnej i zarazem do szczytów polskości. Droga tej wędrówki prowadziła przez kulturalną Polskę — i przez kulturalną Europę". Śliczne to „podsumowanie" twórczości Szymanowskiego. Ale jej istota? Co to są owe „wyżyny" i „szczyty" muzyki? A może rzeczywiście muzykę trudno interpretować słowami, zwłaszcza w przygodnych artykułach, pisanych dla szerokiej publiczności, dla laików. Może, przeinaczając leciutko aforyzm Berangera, o muzyce, o wielkiej muzyce, należy powiedzieć po prostu: „La musique? C'est la musique, et voilà tout".

PROPAGANDA musi być, bez propagandy nie można się obejść. Propaganda — to rozkrzewianie, szerzenie, oddziaływanie. Każda idea musi być propagowana. Chrześcijaństwo nawet było i jest propagowane: niedarmo się mówi o „propagandzie wiary". Ale propaganda nie może być, jak trafnie zauważył Bertrand Russel — „odgałęzieniem sztuki reklamy". Odbiorca tego rodzaju propagandy, jeśli się do niej zrażi, jak do kiepskiego, lecz hałaśliwie reklamowanego towaru, pozostanie na zawsze nieufny i podejrzliwy. Pierwszy numer „Peuples Amis — Revue de l'Amitié Franco-Polonaise", wydawany właśnie w Paryżu jako organ T-wa Przyjaźni Polsko - Francuskiej, wywiera wrażenie raczej reklamy, niż propagandy. Wypełniony w połowie przez pióra polskie (Zb. Bieńkowski, Mirosław Żuławski, Marek Szwarc, Z. Olesiewicz, R. Barkan, Wanda Causse), numer ten zachłystuje się od superlatywów. Nie wypada np. robić z Przybosia największego poety polskiego i nazywać go „fenomenem poezji europejskiej" („un phénomène dans la poésie européenne"), bo słowo „fenomen" jest dwuznaczne. Nie można również reprodukować starej fotografii z jakiegoś przedstawienia ludowego, gdzie na pierwszym planie widnieje młody aktor z wielką przyprawioną brodą, z fają i w słomianym chłopskim kapelusie, a pod fotografią dawać podpisu: „Paysans polonais en costumes" („Chłopi polscy w strojach ludowych"). Francuzi się na tym poznają. Więc wydział propagandy naszej ambasady w Paryżu powinien sumienniej pracować.

ANTONI MADEJ, omawiając w „Tygodniku Warszawskim" (Nr 13) dwa najnowsze tomy poezji Wojciecha Bąka („Syna Ziemi" i „Piątą Ewangelię" — wydawnictwo W. Bąka, Łódź 1946), pisze: „W perspektywie tych apokaliptycznych i eschatologicznych wizji, które nie są bynajmniej złudą, albowiem zbrodnie towarzyszyć będą ludzkości do skończenia świata w coraz gigantyczniejszej scenerii — poezja Bąka jest poezją, która może i winna znaleźć oddźwięk w sercu człowieka cierpiącego i łaknącego prawdy". Perspektywy i wróżby dla ludzkości całkiem niepojęte. Może Bóg da, że się nie sprawdzą. Ryzykowna to jednak rzecz — po Mateuszu, Marku, Łukaszu i Janie — zostać piątym ewangelistą — Wojciechem, i do tego Bąkiem, i doczekać się takiego egzegety, jak Antoni, i do tego Madej.

St. Łatka

Na marginesie

Prasa codzienna doniosła o dwudniowych obradach w Centralnym Urzędzie Planowania, pod przewodnictwem prezesa Bobrowskiego, Doradczej Komisji Ekonomicznej, złożonej z przedstawicieli nauki ekonomii z głównych ośrodków uniwersyteckich. Tematem obrad były zagadnienia związane z realizacją trzyletniego planu odbudowy gospodarczej.

Jak wiadomo plan trzyletni przewiduje odbudowę przedwojennej skali dochodu społecznego, zniszczonego przez długotrwałą rabunkową gospodarkę okupanta i bezpośrednie działania i zniszczenia wojenne na całym terenie naszego kraju. Plan dąży do znacznego zwiększenia konsumcji każdego obywatela.

Ale to jest dopiero plan i szary człowiek zapytuje, jak wygląda realizacja tego planu, czy trzy miesiące doświadczeń potwierdzają optymistyczne zapewnienia dawane nam w ubiegłym roku przez czynniki miarodajne? Czy realizacja planu postępuje planowo naprzód, czy też plan w zetknięciu z życiem nie wytrzymuje próby życia?

Należy sobie zdać sprawę, że każdy plan gospodarczy dopiero w zetknięciu z życiem ukazuje swe słabe strony i luki.

Trudności te istnieją zwłaszcza w takim modelu gospodarczym jak u nas, gdzie gospodarka planowa oparta jest na trzech sektorach: państwowym, spółdzielczym i prywatnym, z których każdy jest w inny sposób w całokształt planu wmontowany. Nieraz jedno przypadkowe zdarzenie gospodarcze może pociągnąć za sobą szereg innych niezamierzonych i nieprzewidzianych skótków gospodarczych. Brak jakiegoś surowca może mieć decydujące znaczenie nie w jednej, ale w szeregu gałęzi gospodarczych.

Fakt, że w CUP-ie obradują przedstawiciele nauki o gospodarowaniu nad środkami zapewniającymi realizację planu, upewnia nas, że władze, odpowiedzialne za wykonanie planu, czynią wszystko, by plan był zrealizowany zgodnie z ustalonymi zasadami. W jakiej mierze nam się to uda — pokaże najbliższa przyszłość w którą patrzymy z nadzieją i ufnością.

Przeciw „monizmowi" i „glajchszaltowaniu"

NIEZMIERNIE interesujący przebieg miała dyskusja w Spółdzielczym Klubie Dyskusyjnym nad referatem p. Oleny Hauboldowej pt. „Czy spółdzielczość jest odrębnym ruchem społecznym".

Tworzenie się nowej rzeczywistości jest dziełem trzech głównych nurtów społecznych współdziałających z państwem ludowym: partii politycznych, ruchu zawodowego i spółdzielczego.

Każdy z tych ruchów ma odrębne zadania do spełnienia, własne metody i zakres działania. Istniała jednak dawniej i dziś istnieje w każdym z tych ruchów tendencja do nadmiernego rozszerzania zakresu swego działania, do wchłonięcia i wtłoczenia we własne ramy całokształtu zagadnień, tego wszystkiego, co może i powinno rozwijać się odrębnie. Niehamowane tendencje monistyczne prowadzą do zwyrodnień, w rezultacie do — totalizacji. Monizm partyjny doprowadził do monopartii hitlerowskiej, monizm zawodowy do wykoszlawień faszystowskiego korporacjonizmu, monizm spółdzielczy do utopii „Rzeczypospolitej Spółdzielczej". Nie należy dążyć do „glajchszaltowania" „normalizacji" życia, do „glajchszaltowania" jego bogatych i samorodnych form w ciasne ramy. Spółdzielczość jest i musi pozostać ruchem odrębnym.

Planowość jest koniecznym warunkiem rozwoju nowoczesnego społeczeństwa, ale plan nie może być martwy

Dyktatury stwarzają pozór siły i wartości, wyczerpując i niszcząc w rzeczywistości żywą siłę społeczną i prowadzą w rezultacie do rozkładu.

Współdziałanie różnorodnych form organizacyjnych, zmierzających do wspólnego celu stwarza żywe węzły społeczne. Ewolucja od niższych do wyższych form społecznych to przecież nie bezduszne ujednolicenie, to — jak powiedział filozof — rozwój od jednorodnej różnolitości do różnorodnej jednolitości.

O UNOWOCZEŚNIENIE GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO

Unowocześnienie gospodarstwa rolnego jest jednym z najbardziej ważnych zagadnień współczesnej polskiej polityki agrarnej.

Drobny rolnik produkował zazwyczaj do niedawna zboże na własne potrzeby i prowadził hodowlę inwentarza w nieznacznych rozmiarach, niewiele zwracając uwagi na specjalizację w bardziej opłacalnych gałęziach produkcji buraczanej, warzywniczej i t. p. Chodzi o przetworzenie gospodarki rolnej na system wykorzystywania gleby w kierunku zwiększenia dochodowości gospodarstw wiejskich, o przejście od słomianej strzechy do murowanego domu, o należyte zagospodarowanie zagrody chłopskiej.

Zagadnienia te omawia w „Kalendarzu Spółdzielczym przewodniczący Głównej Komisji wiejskiej i wiceprezes „Społem" St. Fedecki. Jeżeli spółdzielcza resztówka zaopatruje wieś w odpowiedni materiał nasienny i hodowlany, łatwiej będzie chłopu chować rasowy drób i krowy, uprawiać cenne rośliny techniczne, rozwinąć zielarstwo i ogrodnictwo. O ileż rentowniej może on sprzedać ziemniaki, tuczyć bydło, jeżeli niedaleko jest spółdzielcza gorzelnia, spółdzielczy młyn. Wtedy opłaci się uprawa warzyw i owoców na większą skalę, jeżeli przerobi je i sprzeda do miasta spółdzielcza przetwórnia. Te gorzelnie, młyny, przetwórnie owoców, te stawy i sady są źródłem nowego dochodu dla chłopów, są wyjściem dla chłopa z dotychczasowej niemal wyłącznej uprawy żyta i ziemniaków oraz nieznacznej hodowli inwentarza na własne potrzeby i przejściem w kierunku uprzemysłowienia gospodarstwa rolnego. Te ośrodki przemysłu rolnego otwierają nową perspektywę gospodarczą na wsi i poprawiają strukturę zawodową naszego kraju.

Chłop staje się w miarę rozwoju gospodarczego wsi i podniesienia dobrobytu, masowym konsumentem wyrobów przemysłowych. Brak rynku zbytu na wyroby przemysłowe nie jest dziś odczuwany, raczej brak jest zaspokojenia zapotrzebowania towarowego wsi.

Nowością w statucie spółdzielni gminnej jest to, że łączy ona w sobie różne typy spółdzielni: i wytwórczy i spożywczy i pracy, że obejmuje całokształt działalności gospodarczej ,a nawet kulturalnej danej gminy. Drugą istotną cechą spółdzielni Samopomocy Chłopskiej jest to, że ogarnia ona teren jednej gminy, co zapewnia spółdzielni siłę gospodarczą i odpowiedni zespół, jednocześnie umożliwiając ścisłą kontrolę społeczną.

Należy jeszcze podkreślić masowy charakter tych spółdzielni, dostępność ich dla wszystkich chłopów i związanie ich pracy z aktualnymi potrzebami danej gminy. Dla spraw spółdzielni Samopomocy Chłopskiej istnieje przy Zarządzie Głównym „Społem" Komisja Wiejska i Wydział Przemysłowo - Rolny, mające swoje odpowiedniki w województwach.

Dlaczego doszło do porozumienia „Społem" i Samopomocy Chłopskiej wyjaśnia w „Kalendarzu Spółdzielczym" poseł Adam Rapacki, pisząc: „Porządkuje porozumienie to spółdzielczość na wsi. I to nie tylko w dziedzinie zagospodarowania resztówek poobszarniczych. Porządkuje same zasady pracy spółdzielczej na wsi i porządkuje organizację spółdzielczości wiejskiej, spółdzielczości w ogóle, gospodarkę wsi, aparat spółdzielczy, wreszcie porządkuje przebieg akcji państwowych przez ten aparat wykazanych. Porozumienie wprowadza w życie dwie spośród podstawowych zasad porządku demokratycznego w Polsce: zasadę jedności ruchu zawodowego i zasadę jedności ruchu spółdzielczego".

I dalej zaznacza: „Społem", chłopsko - robotnicza spółdzielnia, centrala gospodarcza, nie może prowadzić polityki sprzecznej z polityką chłopskiego i robotniczego ruchu zawodowego. Przeciwnie. Polityka gospodarcza świata pracy i jego polityka zawodowa będą jedną i drugą razem i każda z osobna, dopiero wtedy skuteczne, kiedy będą ze sobą powiązane".

T.

EKSPORT WIKLINY

Już w marcu bieżącego roku poszły za granicę pierwsze transporty polskiej wikliny.

Polska wiklina jako najlepsza w świecie jest poszukiwana przez firmy zagraniczne. Wywóz może uczynić opłacalną jej uprawę, bardzo pożądaną ze względu na wykorzystanie wielu nieużytków. Za granicę idzie tylko wiklina najwyższego gatunku — A. Drugi gatunek — B jest przerabiany na koszyki, które znów idą za granicę jako jedne z lepszych w świecie. Mierne gatunki są przerabiane na potrzeby krajowe. Niektóre kraje, jak np. Szwecja, Szwajcaria, kupują wiklinę tylko w stanie surowym, chcąc w koszykarstwie zatrudnić swoich więźniów, starców, kaleki itp.

Przed wojną wywóz wikliny wynosił około 4 tysięcy ton za sumę kilka milionów dolarów. Obecnie wikliny w świecie brak i ceny jej wzrosły kilkakrotnie. Gorsza wiklina argentyńska zaczęła opanowywać rynki. Nasze plantacje były zaniedbane, przez kilka lat niecięte, zdziczały tak, że trudno było odrazu po wojnie eksportować tyle, co przed wojną. Brak było kredytów na podciągnięcie plantacji. Toteż w roku ubiegłym tylko jedna transakcja doszła do skutku w drodze kompensaty. A i tę transakcję ze względu na trudności formalne nie prędko się udało rozwikłać.

Dopiero w tym roku pójdzie na eksport 350 ton wikliny A i 250 ton koszyków, które wywiezie sam tylko Wydział Przemysłowo - Rolny „Społem". Niełatwo było doprowadzić do tego eksportu.

W drugim półroczu ubiegłego roku Wydział przystąpił do organizacji uprawy wikliny na wydzierżawionych plantacjach na resztówkach, skupu i przetwórstwa. W pracy tej oparł się na Związku Plantatorów Wikliny oraz na przetwórcach chałupniczych i własnych przetwórniach. Pracę tę prowadzi na razie w trzech województwach: poznańskim, krakowskim i pomorskim.

NAJSTARSZY MŁYN W EUROPIE

Najstarszym młynem nie tylko w Polsce, ale bodaj w całej Europie, jest młyn Związku Gospodarczego „Społem" noszący nazwę Młyny Lubickie pod Toruniem, położone w malowniczej okolicy nad rzeką Drwęcą.

Według „Geografii Gospodarczej" Nowakowskiego młyn ten został założony już w XIV stuleciu, a istnienie jego w tym czasie potwierdzają akta miasta Torunia.

Młyn lubicki jest ponadto największym młynem wodnoturbinowym w całej Polsce.

O kontakt z nim ubiegają się ostatnio firmy mączno-zbożowe.

Młyn ten, który przed wojną był własnością spółki z nieogr. odp., przejęło „Społem" w roku 1945.

Niemcy w czasie okupacji, po przeprowadzeniu pewnych inwestycji, eksploatowali go w całej zdolności produkcyjnej, która wynosiła 120 ton na dobę. na potrzeby armii.

W roku 1941 i 1943 z niewiadomych powodów wybuchły pożary, które jego zdolność produkcyjną poważnie nadwyrężyły i na pewien czas zatamowały.

Według krążących wersji pożary te były wynikiem sabotażu podziemnego ruchu oporu.

Ślady tamtych pożarów jeszcze do dziś dnia są widoczne i czynniki gospodarcze „Społem" przystępują do akcji przywrócenia tym młynom pełnej zdolności przemiałowej, co pochłonie poważne kapitały,

Niemniej Młyny Lubickie już dzięki zabiegom kierownictwa pracują całym swym wysiłkiem i po dzień 31 marca 1946 r. przemielono — 9.953.442 kg zbóż.

Przemiałem zboża zaopatrywano głównie Warszawę, woj. łódzkie i częściowo zachodnio-pomorskie.

Młyn posiada własne laboratorium, zatrudnia 110 pracowników.

17 elewatorów i 4 spichrze odbudowuje „Społem"

Dział Budownictwa „Społem" odbudowuje w br. 13 elewatorów i 4 spichrze zbożowe o ogólnej pojemności 129 tys. 400 ton.

Elewatory buduje się w następujących miejscowościach: Opolu — pojemności 25.000 ton, Darlowie (Pom. Zachodnie) — 14.000 ton, Elblągu — 12.000 ton, Bolesławicach (Dolny Śląsk)—pojemności 5.000 ton, Ujściu (woj. poznańskie) — 3.100 ton, Ustce (woj. szczecińskie) — 8.000 ton, Wrocławiu — 10.000 ton, Oławie (Dolny Śląsk) — 3.000 ton, Koźlu (Górny Śląsk) — 10.000 ton, Styrławkach Wielkich (Mazury) — 5.000 ton, Braniewie (Mazury) — 5.000 ton, Lidzbarku — 3.000 ton, Traczykach (Mazury) — 5.000 ton.

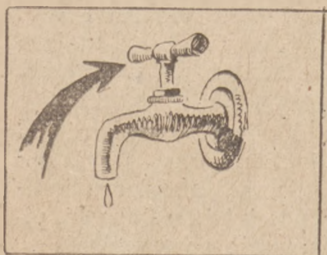
Spichrze budowane są: Warszawa — port o pojemności 6.000 ton, Tomaszów Mazowiecki — 5.100 ton, Tarnów — 5.100 ton i Iwiczna pod Warszawą — 5.100 ton. Wszystkie elewatory i spichrze odbudowywane przez „Społem", mają być oddane do użytku jeszcze na jesieni rb.

Odbudowa tak poważnej liczby elewatorów i spichrzy zbożowych przyczyni się w dużej mierze do należytego zracjonalizowania gospodarki zbożowej w Polsce.

BAJECZKI

Rebusy i zagadki literackie

Każdy z dziewięciu rebusów to nazwisko jednego ze znanych literatów. Odczytajcie te nazwiska, lub kwiatki. Jeśli chodzi o siedem pierwszych, nie nasunie to Wam chyba wiele trudności.

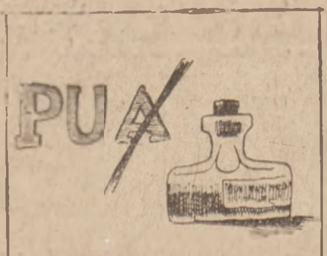














Dwa ostatnie są nieco trudniejsze, ale przy odrobinie znajomości współczesnej poezji zgadniecie i te. W ostateczności zajrzyjcie na str. 15-tą, gdzie znajdują się rozwiązania.

Janusz Odrowąż

Sam Lejek

Kopytkowski źle czuł się na przyjęciu u Mroczków. On skromny kancelista, a tu sami dyrektorzy, prezesi, nie mówiąc o dwóch naczelnikach i jednym szefie resortu.

Nadomiar złego wtrącił się niebacznie do dyskusji na tematy gospodarcze i strzelił byka. Wszyscy spojrzeli nań ironicznie, a dyrektor Trzaskalski wyraźnie się uśmiechnął.

— Wiem na pewno — próbował Kopytkowski ratować honor. — Mówił mi ktoś taki, że... rozumiecie państwo...

Dyrektor wzruszył ramionami.

— Bzdura. A poza tym, któż mógłby panu mówić o tajemnicach, bądź co bądź, państwowych?

— Ten ktoś jest ze mną w przyjaźni — brnął kancelista.

— Ciekawe — cedził dyrektor. — I któż to taki?

Kopytkowski gorączkowo zbierał myśli.

— Lejek — wystrzelił wreszcie. — Sam Lejek!

Dyrektor chrząknął.

— Lejek?

— Tak. Pan dyrektor rozumie, że kto, jak kto, ale Lejek musi wiedzieć. A ponieważ Lejek nie ma przede mną tajemnic...

Czuł, że wybrnął. Wszyscy spoglądali nań uważnie, a pani Mroczkowa przysunęła półmisek z cielęciną.

●

Od tego dnia nasz kancelista zaczął częściej posługiwać się Lejkiem.

Lejek to, Lejek tamto, zapytam Lejka, opowiem Lejkowi.

Innym okiem spojrzeli nań znajomi i koledzy. Kierownik kancelarii zaprzestał szykan a naczelnik obiecał, że przedstawi Kopytkowskiego do awansu.

Bywało, że na ulicy mija go dwóch panów. Jeden kłania się uprzejmie, a drugi tamtego pyta:

— Kto to?

— Kopytkowski, biurowy kolega. Trzeba z nim, uważa pan, dobrze, bo facet ustosunkowany. Sam Lejek z nim, podobno na ty.

— Kto?

— Lejek.

— Lejek?

— No, Lejek! Nie wie pan, kto to Lejek?

— Ach, Lejek! Oczywiście, naturalnie! — wycofuje się tamten.

I wszystko w porządku.

●

Mistyfikacja buchaltera Kopytkowskiego zasługuje na potępienie. Brzydko jest wymyślać dygnitarzy dla celów ściśle prywatnych.

A jednak podkreślić trzeba, że fikcyjny Lejek sprawił ludziom sporo dobrego. Mówią, że wiele zawiłych, urzędowych spraw załatwiono przychylnie i szybko pod wpływem tego nazwiska.

Uczynny Kopytkowski bowiem nie odmawia nigdy przyjaciołom, proszącym go o wyjednanie poparcia.

— Dobrze — mówi, — możesz się na niego powołać, ja go o tym uprzedzę. Idź, gdzie chcesz i mów, że z polecenia prezesa Lejka. To na pewno pomoże.

I, podobno, rzeczywiście pomaga.

PRZYGODY ZAGŁOBY

W SPRAWIE KULTURY



— Kpem jestem, jeśli coś rozumiem! Największego łotra, który miliony ludzi zamęczył, tylko na karę śmierci skazano? Kołem go trzeba było łamać, pasy drzeć, oczy wyłupić, na palik zwolna nawlekać! Czemuż tak nie uczyniono, mosanie?

— Kultura nam, proszę pana, nie pozwala.



— Chciałbym ja tę kulturę spotkać, by do rozumu jej przemówić. Ale szukam wszędzie i znaleźć nie mogę. W biurach jej nie ma, na ulicach także, w tramwajach ani śladu...



— Tu powiedziano mi wprawdzie, że jest, ale jakoś dotąd pokazać jej nie umieją. Podobno pod stosem papierków leży.



— Za moich czasów łotrów przykładnie karano, lecz niewinnego zwierzęcia nikt katować nie myślał. Tymczasem dziś dzieje się inaczej. Czyżby to była ta nowoczesna kultura?

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

PO ŚWIĘTACH

Z pozostałych resztek poświątecznych oszczędna gospodyni może przyrządzić bardzo smaczne potrawy.

BIGOS

Na pierwsze miejsce wśród nich wysuwa się tradycyjny b i g o s. 1 kg kapusty kiszonej i 1/2 główki kapusty słodkiej, drobno poszatkowanej dusimy razem w rondlu dodając 2 łyżki smalcu, 1 łyżkę gęstej marmelady (najlepiej śliwkowej) i parę łyżek wody. Dusić trzeba tak długo, aż kapusta nabierze ciemniejszego koloru. W małą kostkę kroimy resztki pieczeni cielęcej, schabu itd., dodajemy to wszystko do kapusty i dusimy parę godzin. Bigos zaprawiamy potem marmeladą pomidorową, dodając trochę soli i cukru. Odgrzany na drugi dzień bigos jest jeszcze smaczniejszy.

KROKIETY

Z pozostałych resztek szynki można zrobić k r o k i e t y.

Dla przyrządzenia potrzeba: 60 dkg. kartofli, 2 całe jajka, 30 dkg. tłustej szynki, 10 dkg. mąki, trochę soli i pieprzu. Ugotowane kartofle należy zemleć na maszynce razem z szynką i dobrze wyrobić z mąką i jajami (o ile masa jest za gęsta i rozsypuje się, trzeba dodać trochę śmietany). Krokiety formować podłużne lub okrągłe, maczać w rozbitym jajku ! w bułce po czym smażyć na smalcu lub maśle.

PASZTECIKI

P a s z t e c i k i z resztek cielęciny.

Zagnieść ciasto (1/2 kg mąki, 1/4 l. śmietany, trochę soli), rozwałkować i wycinać szklanką krążki. Na środek krążków kłaść farsz, przykrywać drugim krążkiem, zalepić brzegi, posmarować jajkiem i kłaść na wysmarowaną blachę dosyć rzadko, gdyż ciasto rośnie.

Piec należy w gorącym piecu.

Farsz do pasztecików przyrządzamy w sposób następujący: cielęcinę zemleć na maszynce, dodać trochę słoniny pokrajanej w drobną kostkę, cebulkę uduszoną na maśle, posiekane jajko, trochę zielonej pietruszki lub koperku i pieprzu.

Rozwiązanie rebusów i zagadek literackich

ze strony 14

1) Kurek
2) Kott
3) Dygat
4) Tuwim
5) Piętak
6) Putrament
7) Sandauer
8) Przyboś
9) Szczawiej

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa, Smolna 12 B-31012

IV KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

W numerze 13 (37) ogłosiliśmy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach.

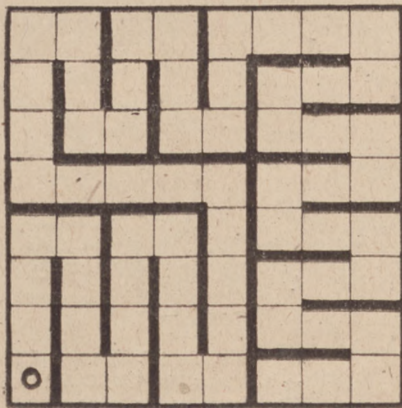
Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez czytelników przyznane będą wartościowe nagrody. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczonych zadań jeszcze bardziej podniesie się.

CIĄGÓWKA
Ułożył Romuald Miałkowski

Zaczynając od kratki oznaczonej kółkiem w umieszczoną obok figurę należy wpisać jednym ciągiem 16 wyrazów o podanym znaczeniu. Końcowa litera każdego wyrazu jest zarazem początkową następnego. Litery umieszczone wzdłuż obu przekątni dadzą rozwiązanie.



Znaczenie słów: 1. Linia krzywa zamknięta. 2. Nadanie wyższej rangi lub urzędu. 3. Płynna przyprawa do potraw. 4. Najlepszy śpiewak wśród ptaków. 5. Pancerz. 6. Lód; mgła błyszcząca. 7. Rzeka włoska. 8. Król ptaków. 9. Pręt żelazny łączący sztelwagę z osią przednią wozu. 10. Inna nazwa boga Hari. 11. Historyczne miasto — znane ze zwycięstw Napoleona. 12. Pada drobny deszcz. 13. Czciciele diabła w Kurdystanie, Armenii i połudn. Kaukazie. 14. Pierwiastek metaliczny z gromady glinowców. 15. Cewka samoindukcyjna, której przeznaczeniem jest zmniejszenie napięcia prądu zmiennego. 16. Rybka z gatunku pokrewnego śledziom.



uł. St. Cieślewicz

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Na wystawie filatelistycznej w Instytucie Imperialnym w Londynie, słynna kolekcja „Seymour" wystawiła fragment arkusza czarnej jednopensówki, wprowadzonej do obiegu 6 maja 1840 roku, a więc 107 lat temu. Reprodukowany fragment, wykonany drugą płytą, składa się z 33 znaczków (po 7 w pierwszych czterech rzędach i 5 w rzędzie piątym, oznaczonych literami: AA—AG, BA—BG, CA—CG, DA—DG i EA—EE.

Jeśli już mówimy o pierwszym znaczku angielskim, a jednocześnie pierwszym znaczku na świecie, warto wspomnieć i o drugim — niebieskiej dwupensówce — zwłaszcza, że jest on od pierwszego droższy.

W zeszłym roku w Dalkeith Palace, jednej ze szkockich siedzib książęcych, sekretarz księcia, Mr. Aleksander Martin odkrył przypadkiem w starym piórniku duży fragment arkusza — razem 48 znaczków. Oprócz tego w piórniku znajdowało się 55 sztuk brunatno-czerwonej jednopensówki z 1841 roku.

Znaleziony fragment arkusza dwupensówek jest jakoby największą rzadkością między znaczkami brytyjskimi.

Ciekawą rzeczą jest, że wydane w 1840 roku 8 szylingów dało w roku 1946 — 5.000 funtów. Kapitał powiększył się 12.500 razy!

Któż teraz odważy się powiedzieć, że znaczek źle procentuje? (wo)

SZPERACZ
CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymała p. W. Danielewicz (Poznań, ul. Konopnickiej nr 3 m. 6) za wycinek z „Mody i Życia Praktycznego".

PROSIMY O ŚCISŁOŚĆ

Okres wielkiego postu trwał w tym roku szczególnie krótko („Moda i Życie Praktyczne" nr 19).

Od chwili ustanowienia wielkiego postu w wieku IV trwał on rok rocznie, w ciągu tysiąca sześciuset lat — przez dni czterdzieści — od środy popielcowej do wielkiej soboty. Tego roku został szczególnie skrócony. Do ilu jednak dni i z jakich powodów — „Moda i Życie Praktyczne" nie wyjaśnia. Pismo to tak się widocznie wyszalało w karnawale, że straciło poczucie rzeczywistości.

EKONOMIKA I FANTAZJA

Spasłym mieszczuchom krakowskim, siedzącym na złocie i dewizach, odpowiadają (?) zdychający z głodu wieśniacy z Suchej czy Limanowej, których nie zawsze stać na kupno kartkowego chleba („Życie Warszawy" nr 330; korespondencja z Krakowa pt.: „Krakowiacy i górale").

Obrazowym, mocnym, realistycznym stylem maluje autor beznadziejną sytuację wieśniaków podkrakowskich. Popełnia jednak gruby błąd faktyczny. Pisze: „nie zawsze". Nieprawda. Wieśniaków, nie tylko krakowskich, ale w ogóle w całej Polsce, nigdy — o zgrozo! — nie stać na kupno kartkowego chleba: muszą z głodu spożywać swój własny, pieczony w chałupie, na liściach dębowych, klonowych, kapuścianych, na tataraku...

DYREKCJA LOCUTA, CAUSA FINITA

Bilety tramwajowe bezimienne sprzedawane będą według decyzji Dyrekcji M. Z. K. w ograniczonej ilości:

a) ulgowe tylko instytucjom miejskim, państwowym i niektórym społecznym itp.

b) normalne — poważniejszym instytucjom (ogłoszenie zarządu st. miasta Warszawy, w „Expresie Wieczornym" nr 74/294).

Z powyższego widać, że instytucje mogą się dzielić na poważne, poważniejsze, najpoważniejsze i, zapewne, niepoważne. Klasyfikacja ich zależy całkowicie od „decyzji" M. Z. K. Na przykład — BOS... Ta instytucja chyba biletów nie otrzyma.

DOŚWIADCZENIA NAD SKÓRAMI RYBIMI

Próby, czynione nad garbowaniem skór rybackich w Laboratorium Morskim w Gdyni, budzą coraz szersze zainteresowanie sfer naukowych i fachowych (tytuł i tekst notatki: „Gazeta Handlowa" nr 9).

Najbardziej zainteresowane są ofiary okrutnych doświadczeń, tj. rybacy. Z godnym jednak podziwu samozaparciem mówią jednak: trudno, nauka żąda poświęceń.

GŁOWY DO RADY, NIE OD PARADY

Po działaniach wojennych naród radziecki przystąpił do odbudowy kanału. Wielkim wysiłkiem przywrócono dawne zniszczenia tej magistrali, skracającej drogę z Leningradu do portów północnych („Życie Warszawy" nr 306).

Przed rozpoczęciem robót inżynierowie radzieccy zwrócili się do redakcji „Życia Warszawy", która im udzieliła wskazówek, w jaki sposób przywraca się zniszczenia — i to wielkim wysiłkiem.

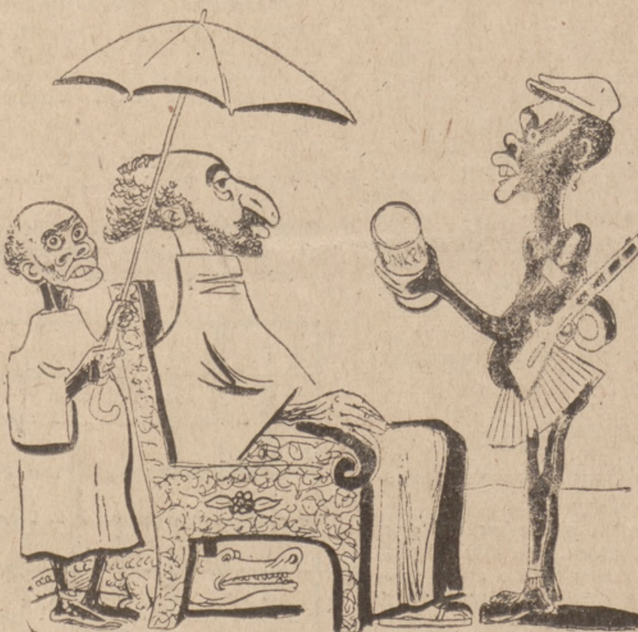
Wyniki III Konkursu na rozrywki umysłowe podamy w następnym numerze

Julian Zebrowski

Przez zakopcony MONOKL



Stół na konferencji jest podobno okrągły.
— Stół bez...



Abisynia dostała pomoc UNRRA.
— Cesarzu, ta UNRRA przysyła nam straszne świństwa. Konserwy są ze zwierząt!...



— Słuchaj, sensacja! Nie masz pojęcia, czy widziałeś Hoessa na procesie?
— Nie, widziałem go w Oświęcimiu.



Prezydent Truman ma dać pożyczkę Turcji.
— „Ja za wodom, ty za wodom,
Jakże ja ci forsę podom!"



— No, nie chlap smarkaczu!



Winston Churchill ma objąć prywatną posadę. Nasza oferta.